MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 36. WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ANGLJA i WŁOCHY

ROZWÓJ wydarzeń politycznych, odbywających się w związku z zamiarami Włoch w stosunku do Abisynji, ustala coraz jaśniej prawdę, że istotną sprawą jest rozpoczynający się dziejowy zatarg między Włochami i Anglją. Abisynja nie jest w całej tej sprawie podmiotem, lecz przedmiotem; jeśli przygotowuje się do stawienia oporu Włochom, to tylko dlatego, że czuje za sobą poparcie Imperjum Brytyjskiego. Kto chce tedy zrozumieć to, co się dzieje i co się dziać będzie, ten powinien spojrzeć na całe zagadnienie jako na konflikt dziejowy między Włochami i Anglją.

Włochy są pchane do zajęcia pozycji na lądzie afrykańskim przez wielkie siły dziejowe. Częściowo te same, które kazały robić podboje Rzymowi starożytnemu na wybrzeżach morza Śródziemnego, częściowo nowe, wynikające z układu stosunków w Europie takiej, jaką stworzyły warunki nowoczesne, oparte o odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Wielkość Rzymu starożytnego i jego misja cywilizacyjna w krajach, otaczaczających morze Śródziemne, były wynikiem podbojów i ujarzmienia szeregu ludów... Grecja, Egipt, Kartagina, szereg państw w Azji Mniejszej, Galja i t. d., oto szereg państw i narodów, które uległy przemocy Rzymu. Na ich gruzach zostało stworzone dzieło, którego konsekwencją jest współczesna nam cywilizacja zachodnio-europejska, córa Kościoła katolickiego i Rzymu starożytnego. Włochy współczesne są przez historję i geografję predestynowane, by iść śladami Rzymu starożytnego... Włochy te, po latach rozbicia i upadku, zostały zjednoczone w wieku XIX, wykończyły to zjednoczenie w wieku XX w czasie wielkiej wojny. Dziś, oparte plecami o Alpy, mogą zwrócić swój wzrok na morze Śródziemne i ląd afrykański. Tak samo niegdyś chłopi z nad Tybru, podbiwszy cały półwysep Apeniński, musieli się zmierzyć z potężną na morzu Kartaginą.

Włosi zamieszkują kraj, mający mało ziemi zdatnej pod uprawę, nie posiadają najważniejszych surowców, a przybywa ich około 500.000 rocznie. Muszą tedy, pod grozą zagłady, szukać terytorjów nowych, surowców i rynków zbytu dla swoich wyrobów przemysłowych. Oto są przyczyny ekspedycji włoskiej do Abisynji...

Jak niegdyś Rzym spotkał na drodze swej koniecznej ekspansji Kartaginę, tak dzisiaj Włochy spotykają Anglję. Posiada ona wielkie posiadłości w Afryce Wschodniej i Południowej, sprawuje protektorat nad Egiptem, trzyma w ręku wrota do morza Śródziemnego (Suez i Gibraltar), flota jej panuje na tem morzu, oparta o Maltę (zamieszkałą przez Włochów) i o Cypr.

Ekspansja Włochów na terenie Abisynji może oddać w ich ręce jezioro Tsana, z którego wypływa Nil Błękitny, a przez to klucz do rozwoju Sudanu i Egiptu.

Już to samo nakazywałoby Anglji zainteresować się planami włoskiemi. Są jednak powody o wiele jeszcze ważniejsze do tego, że rząd i opinja w Anglji są wielce zaalarmowane planami Włoch. W Anglji rozumieją, że rozpoczyna się gra o potęgę Imperjum Brytyjskiego, jeśli już nie o jego istnienie. Wszak gdyby Włosi urzeczywistnili swe zamiary w stosunku do Abisynji, to może w nich

rozwinąć się dążenie do stworzenia wielkiego imperjum w Afryce i do opanowania morza Śródziemnego. To zaś byłoby wbijaniem potężnego klina w zwartość Imperjum Brytyjskiego, dla którego droga morska przez Suez i morze Czerwone jest niezbędnym szlakiem handlowym i wojskowym. Ekspansja Włoch na terenie Abisynji zagraża pozycji Anglji na morzu Śródziemnem, w kanale Suezkim i na morzu Czerwonem, a także jej pozycji w Egipcie i w Afryce Środkowej, słowem na całym lądzie afrykańskim.

To, na co powyżej wskazaliśmy, wystarcza chyba, by przekonać czytelnika o rozmiarach zapowiadającego się konfliktu.

Narazie Anglja walczy bronią dyplomatyczną, próbuje przeciwstawić Włochom opinję powszechną, upostaciowaną w genewskiej Lidze Narodów.

Z zachowania się Włoch wszakże widać, że gotowe są one do największych ofiar i wysiłków, że odwołają się w ostateczności do tego, co było zawsze i będzie po wsze czasy *ultima ratio* narodów chcących żyć i tworzyć.

Przyszły rozwój wypadków zależy od tego, czy do tego samego środka jest gotowa uciec się Anglja, a może nietylko czy jest gotowa, lecz czy jest zdolna, czy jej siły lądowe i morskie są dostateczne, czy społeczeństwo starej Anglji jest gotowe do wysiłków i ofiar?

Niebawem otrzymamy odpowiedź na powyższe pytanie. Jasną jednak jest dziś rzeczą, że stoimy w przededniu wydarzeń, które będą miały wielki wpływ na politykę nietylko europejską, lecz i światową.

STANISŁAW KOZICKI

NIEMIECKA RASA

NIEMIECKI ruch rasowy, nazywający się ruchem nordycznym, jest dziś w Niemczech zjawiskiem potężnem. Pojęcie o sile tego prądu intelektualnego i społecznego daje urzędowa bibljografja rasizmu, ukazująca się już w II wydaniu pod redakcją dr. Achima Gerckego, rzeczoznawcy dla badań nad sprawami rasowemi w ministerstwie spraw wewnętrznych Rzeszy, a opracowana przez dr. Kummera „(*Die Rasse im Schrifttum*“, wyd. II, Berlin 1934). Bibljografja ta, zresztą niekompletna, wykazuje 691 pozycyj, w czem 33 czasopism poświęconych ruchowi rasowemu.

Ruch rasistyczny, jak wiadomo, szerzy suggestje, jakoby ludzie rasy nordycznej stanowili bardziej wartościowy element ludzki, zwłaszcza w odniesieniu do życia politycznego i kulturalnego. A że wedle wierzeń niemieckich rasistów rasa nordyczna grupuje się w północno-zachodnich, germańskich Niemczech, przeto doktryna nordyczna budzi obawy na dawniej słowiańskim Wschodzie i na celtycko-romańskiem Południu. Nic tedy dziwnego, że przeciwnicy myśli nordycznej bronili już od dość dawna reszty Niemiec przed supremacją nordycznego ośrodka w Niemczech. Przeciwnicy ci niejednokrotnie wysuwali obawy, że myśl nordyczna może się stać groźna dla niemieckiej jedności narodowej. Te zastrzeżenia doprowadziły w ostatnich latach do powstania nowej idei polityczno-rasowej, do swoistego ruchu rasowego, wysuwającego hasła „rasy niemieckiej”. Ruch ten jest wyraźnie skierowany przeciw oficjalnie dziś uznanemu ruchowi nordycznemu.

Podstawą teoretyczną całego ruchu stały się prace dwu docentów niemieckich. Są nimi Fr. Merkenschlager, botanik, zajmujący się zagadnieniami antropologicznemi, oraz K. Saller, docent antropologji. Oni to w szeregu prac, artykułów naukowych i publicystycznych budują teorję „rasy niemieckiej”, gromadząc około siebie elementy niezadowolone z obecnej niemieckiej polityki rasowej. W akcji tej wykazują obaj uczeni dużą ruchliwość, pomysłowość oraz odwagę.

Naukowe tezy całego ruchu najlepiej ujmuje praca Fr. Merkenschlagera, zatytułowana „*Rassensonderung, Rassenmischung, Rassenwandlung*“ (Berlin, str. 63). Ujęcia Merkenschlagera nie są pozbawione oryginalności. Wprowadza on do antropologji momenty klimatyczne i botaniczne. Rasy nie ujmuje on ze strony statycznej, nie posługuje się momentami morfologji. Rasa jest dla niego czemś dynamicznem. Rozwija się ona pod wpływem klimatycznych przedewszystkiem warunków otoczenia. Jeżeli te warunki trwają, to trwa i rasa, jeżeli warunki się zmieniają, to przychodzi na miejsce starej rasy nowe życie, a stare częściowo wymiera, częściowo zaś łączy się z nowem i przekształca na skutek mieszaniny. Na wędrówki i zmiany rasowe rodzaju ludzkiego patrzy on przez pryzmat wędrówki roślin użytkowych, jak pszenica, żyto i ziemniaki.

Czasy lodowcowe wytworzyły, wedle autora, w Europie północnej i w Niemczech rasę łowców, długogłowców, o psychice wybitnie łowieckiej, skłonnej do ruchu, miłującej przestrzeń, skłonnej do wojen, podróży, podbojów i bohaterskiego życia. Ale w miarę ustępowania lodowca dostawały się do Europy ludy rolnicze, które przyniosły z Azji i Afryki rolnictwo. W czasie wędrówki ludów zaś okupował Niemcy lud, niosący z sobą żyto i chmiel. Ludem tym są po słowiańsku mówiący Wendowie, różni jednak od Słowian (?). Wszystkie te rasy, współżyjące razem z sobą, zaczęły tworzyć pewną całość, coś nakształt stopu. Powstanie tego stopu nazywa autor procesem niemieckim. Z zespolenia się tych rozmaitych elementów powstaje w naszych oczach, rozmaicie w rozmaitych miejscach posunięta w stapianiu się, „rasa niemiecka”. Niemcy są według autora ani germańskie, ani słowiańskie, ani też celtyckie, ale są czemś nowem, są niemieckie. Wszystkie elementy rasowe są dla narodu jednakowo cenne, należy im dać żyć i utrzymywać swoje życie w wolnej grze interesów. Utopją jest chęć powiększenia przez ruch nordyczny ilości krwi nordycznej w Niemczech. Dziś nie żyjemy w czasie myśliwskim, przeto rasa nordyczna, my-

śliwska nie da się obecnie rozmnożyć w nadmiernej ilości.

W jednem miejscu zaznacza też autor ironicznie, że istotnie „przestrzeni" (*Raum*) potrzebuje jedynie myśliwska rasa nordyczna.

Opierając się o takie pierwiastki teoretyczne, napisali obaj wymienieni uczeni w obecnym roku książkę zatytułowaną: „*Vineta — eine deutsche Biologie von Osten hergeschrieben*" (Wrocław, str. 146). Jest to coś w rodzaju geografji i historji rasowej Niemiec. Bardzo wielką uwagę zwrócili autorowie na rasowy i cywilizacyjny wpływ Słowian na niemieckim Wschodzie. Książka pozatem ma charakter książki politycznej. Wysuwa ona na podstawie specjalnej mistyki i historjozofji rasowej żądania i suggestje podboju Polski. Na str. 137 czytamy:

„Od południka Winety do Emden i do Tylży oscyluje wahadło niemal na równą odległość. Rozwój biologiczny występuje tu prawie-że z precyzją mechanizmu zegarowego. Niemcy muszą sięgnąć tak daleko, Niemcom potrzeba tyle Wschodu. — — — Niemcom tyle potrzeba Wschodu, ile mają Zachodu".[1])

Niemcy muszą zdobyć tyle ziemi na Wschodzie ile mają na zachód od Odry, gdyż w ten sposób tworzyć będą organiczną jednostkę antropogeograficzną oraz zdołają wypełnić swą misję historyczną. Misja ta — to możność życia Niemiec pomiędzy Azją i Atlantydą. Cała przyszłość niemiecka jest, wedle „*Vinety*", na Wschodzie.

Książka ta jest ze wszech miar ciekawa. Można ją ze względu na te właśnie tendencje polityczne uważać jakby za pewnego rodzaju ofertę autorów i stojących za nimi niemieckich antynordycznych sił społecznych w kierunku obozu rządzącego. Ponieważ politycznie ruch nordyczny skierowany jest na słowiański Wschód, przeto autorzy „*Vinety*" pokazują, że można do sprawy penetracji wschodniej podchodzić bez doktryny nordycznej. Co więcej, w literaturze kierunku niemiecko-rasowego jest sporo miejsc, wskazujących na niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą myśl nordyczna dla Niemiec.

Obok książek wyżej wymienionych, nowy ruch rasowy zaczął przeprowadzać w ostatnich dwu latach dość szeroko zakrojoną propagandę publicystyczną, nietylko w prasie opozycyjnej, ale także w niektórych organach narodowo-socjalistycznych. Agitacja ogarnęła także niektóre koła partji, korzystając zapewne z tego faktu, że Merkenschlager jest starym hitlerowcem.

Jednakże koła nordyczne nie zasypiały gruszek w popiele. Zaczęto systematyczną akcję przeciwko grupie propagującej doktrynę „rasy niemieckiej". Na czele tej akcji stało czasopismo nordyczne „*Rasse*", ukazujące się u Teubnera w Lipsku. Skutek akcji niedługo kazał na siebie czekać. Z początkiem tego roku zakazano w Niemczech książki Merkenschlagera i Sallera „*Vineta*" oraz Sallerowi ma się odebrać prawo wykładania na uniwersytecie. Jako powód tych zarządzeń urząd rasowo-polityczny podał przedewszystkiem ten fakt, że „idea rasowa jest dla socjalizmu narodowego ważnym i decydującym składnikiem jego światopoglądu".[2])

Wobec tego żaden uczony, wedle tego oświadczenia, nie może pod pokrywką naukowych teoryj przeprowadzać przeciwpropagandy. Sallerowi zarzuca przytem urząd rasowy, że tworzy on rasy kapitalistów i uciemiężonych i wogóle rasy społeczne.

Redakcja czasopisma „*Rasse*", zdając w trzecim zeszycie bieżącego roku sprawę z upadku Sallera w artykule „*Der Fall Saller*" wysuwa przypuszczenie, że Merkenschlager jest związany z Ottonem Strasserem oraz Żydami. Jak z tego i szeregu pogróżek widać, cała sprawa jest raczej przytłumiona aniżeli zlikwidowana.

KAROL STOJANOWSKI

[1]) *„Vom Vineta-Meridian nach Emden und nach Tilsit schwingt der Pendel fast gleichweit. Die biologische Entwicklung erscheint hier beinahe mit der Präsizion eines Uhrwerkes. Deutschland muss so weit ausholen, Deutschland braucht so viel Osten. — — — Deutschland braucht soviel Osten, wie es Westen hat".*

[2]) *„Der Rassengedanke ist für den National-Sozialismus ein wichtiges und entscheidendes Stück seiner Weltanschauung".*

O MISTYCYZMIE NORWIDA

(Dokończenie)

„JAK WIELKIE jest i nieopisane ministerstwo bożego miłosierdzia" — pisze Norwid do Skrzyneckiego — „które czyni, iż sumiennie z kim żyjąc, dane bywa, iż śmierć sama w pewnej części nie rozłącza".

Poeta o swoich stosunkach ze zmarłymi opowiadał nieraz przyjaciołom. O jednem z takich opowiadań — ze stycznia r. 1849 — wspomina po latach Niewiarowski[6]): „wtedy już opanował go silnie mistycyzm" — pisze o Norwidzie — „rad był rozmawiać w tym duchu, a raz nawet, siedząc u mnie w hotelu, przez cały wieczór opowiadał mi, i to z wiarą zupełnie dobrą, o rozmaitych stosunkach, jakie zdarzyło mu się mieć z umarłymi".

[6]) W „Kłosach", 1886, II, 336.

Z kim Norwid mógł najczęściej w podobny sposób obcować? Oczywiście z dawnymi przyjaciółmi, z którymi żył kiedyś sumiennie: z ukochanym Włodziem Łubieńskim († 1849), z Władysławem Wężykiem (†1848), z Henrykiem Podhorskim. Wszyscy oni przestali być tylko widzialnymi dla Norwida, gdyż pozatem i po śmierci nie zaprzestali go odwiedzać.

„Przypominają mi one [słowa] kogoś, co już nie żyje widzialnie", pisze w jednym z listów o Łubieńskim, a Bohdanowi Zaleskiemu zwierza się kiedyś, że niema przy sobie ani jednego ramienia „okrom ducha Włodzia Łubieńskiego, tego z owąd"... Teraz dopiero rozumiemy należycie dedykację „Promethidiona", w której ofiaruje swe dzieło Łubieńskiemu, a raczej jego cieniowi wciąż obecnemu przy poecie:

„Tobie — Umarły, te poświęcam pieśni,
Bo cień, gdy schyla się nad pargaminem,
To prawdę czyta, o podstępach nie śni...”

O Wężyku wspomina kiedyś, że nic już nie wie o nim drogą realną. „Jeżeli wiem jaką inną drogą” — dodaje — „to się o tem nie pisze i nie mówi“.

„Henryk Podhorski zeszedł z widzialnego świata“ pisze o trzecim przyjacielu, to jednak zejście nie przeszkadza wcale Norwidowi w prowadzeniu długich rozmów z nieboszczykiem: o życiu i sztuce. Poświęca mu nawet wiersz, z takiem ciekawem *post-scriptum*:

„Przyjm fraszkę tę, Henryku...
...Dośpiewa Ci czule
Niejedną z długich, bogdaj nieprzerwanych, rozmów;
A nie smuć się i prędko też widzenie odnów.”

Przyjemne były Norwidowi te widzenia, przyjemniejsze od wielu stosunków z żywymi i nie dziwimy się zapałowi, z jakim opowiada o tem pani Górskiej: *„il y a bien de circonstances ou on peut plus être non seulement utile, mais agréable et empressé dans nos rélations avec les morts, qu'avec les vivants. Et croyez moi qu'il n'est point impossible de recevoir même des nouvelles d'au de là“*.

II

Nasuwa się pytanie — w jaki sposób Norwid porozumiewał się i widywał ze swoimi nieziemskimi gośćmi...

Prawdopodobnie może tu być mowa o trojakiej komunikacji: poeta mógł czuć ich obecność w sobie lub około siebie i myśli wówczas powzięte brać za wynik współżycia dwu osobowości, dalej mógł mieć widzenia (halucynacje) w stanach modlitewnej ekstazy, wreszcie mogli mu się pojawiać we śnie.

Sen odgrywał u Norwida bardzo poważną rolę. Był mu spoczynkiem, narkotykiem, wskazówką i objawieniem.

Na tej drodze mógł się porozumiewać ze zmarłymi. Sen o zmarłym — to dla Norwida, z całą pewnością, obcowanie z nim, to fakt, to rzeczywistość wyższa od normalnej.

Nie każde jednak marzenie senne zasługiwało na baczną uwagę. Takie tylko z pośród nich trzeba było traktować poważnie, które albo posiadały zaletę całości, albo pokazały się jednakowo i równocześnie dwu różnym osobom, albo też zjawiły się nad ranem.

Sen cały, to jest skończony i nie posiadający wewnętrznych sprzeczności, musiał być prawdziwy, bo wedle Norwida „tylko prawda ma zaletę całości“; podobnie, w jednym z listów do Genjusza († 1920) pisze o śnie tego ostatniego, że jest znaczący, a znaczący dlatego „iż mniemam, aby cokolwiek mającego całość mogło być bez prawdy — jakże byłaby całość??“

O śnie jednakowym (co do treści) i równoczesnym opowiada Norwid w fantazji „Za kulisami“ (mianowicie o śnie Tyrteja i Eginei).

Co zaś do snów nadrannych, to do dziś dnia jest rozpowszechnione mniemanie o ich prawdziwości, a w literaturze starożytnej, tak dobrze znanej Norwidowi, pełno o nich szczegółów; choćby u Owidjusza *(„sub aurora... tempore, quo cerni somnia vera solent“)* lub Horacego *(„post mediam noctem... quum somnia vera“)*. O przesądzie tym jest wzmianka i u Dantego, którego tak Norwid uwielbiał („Inf.“ XXVI, 7: *„al mattin del ver si sagna“*). Dla Cyprjana rostrzygającą o prawdzie była powszechność tych wierzeń.

Gdy w r. 1851 Bodan Zaleski niepokoił się o rodzinę swą na Ukrainie, Norwid pociesza go temi słowy:

„dziś nad ranem śniło mi się, że mówiłem do Ciebie: „iż z przeczucia tylko sądzisz, że nie masz żadnej wiadomości realnej, i że najbystrzejsze przeczucia nawet omylają. Tak mi się śniło, widzi Bóg, i tak Ci piszę. Dant powtarza, co u wszystkich ludów, a więc z zaświata kiedyś zachwycone krąży, że sny nad ranem są prawdziwe“.

Oprócz snów i widzeń miał Norwid i inne jeszcze związki z wyższym porządkiem. „Z wieści od świata świętych i ja wiem nieco“ — pisze w r. 1856 do Józefa Zaleskiego — „bo Pan na osoby względu nie ma“.

Najwięcej jednak głębokich przeżyć mistycznych dostarczała mu korna modlitwa, którą sam określał jako „znalezienie stosunku naszego z Siłami Najwyższemi“, i która prowadziła go, hen! na ścieżki podniebne, niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

III

Podobnie jak u wielu współczesnych mu mistyków, wierzył i Norwid w pewne nieświadome inspiracje i przeczucia, a dalej w pewne mistyczne powinowactwa rzeczy i zdarzeń pozornie sobie odległych, i w utajone, głębokie treści, spoczywające pod powłoką powszednią i nieznaczącą.

„W tej powszedniości, o, jakże tu wiele
Mistycznych rzeczy i nieogadnionych...”

„Pan na osoby względu nie ma“ powiadał coprawda Norwid, ale i on uważał, że nieraz zwierzęta, dzieci, prosty lud i (jeśli chodzi o warstwy wykształcone) poeci, jako bardziej zbliżeni do przyrody, względnie więcej bezpośredni i wrażliwi, mogą dosłuchać się głosów nieosiągalnych dla zwykłego ucha. I on wierzył w jakąś *anima abdominalis*, która pozwala widzieć jaśniej i głębiej, był jednak przekonany, że przy dużym wkładzie wiary i dobrej woli każdy mógłby to uzyskać.

„Trzeba więc tak kształcić swój wzrok“ — pisze do Konstancji Górskiej — „ażebyśmy mogli odgadywać sprawy Boże pod powłoką spraw ziemskich, zbliżając się tym sposobem coraz bezpośredniej do nieustannie pracującej woli opatrznego Boga naszego“.

Norwidowi ci ludzie byli zawsze drodzy

„...co, w rzeczach potocznych
Trzeźwi będąc, są przecież w wieczne zachwyceni,
Treść niewidzialną z onych zgadując widocznych...”

Najgłębsze, najciekawsze zjawiska (cuda np.) są powleczone przyczynami ziemskiemi, śmierć nawet ma zawsze swoje ukryte przyczyny, podobnie wszelkie boleści moralne, czy fizyczne, mają swoją odrębną przyczynę i swój utajony cel, choć pozornie nic o tem nie świadczy i wszystko wydaje się naturalne.

Tę treść niewidzialną, utajoną, duchową, to głębsze znaczenie każdej rzeczy można odgadnąć na drodze intuicji, a jeśli ta zawodzi, przy pomocy gorącej modlitwy.

Podobnym zadaniom służy też, tak rozwinięta u Norwida, filologja mistyczna, która, operując fantastyczną nieraz wykładnią i stosując obficie naciągane etymologje, ma być nieraz pomocna przy rozwiązywaniu wielu zagadek bytu.

Obok treści utajonych ważne są bardzo wspomniane już mistyczne powinowactwa, które pozwalają wybranym przepowiadać rzeczy przyszłe i łączyć zupełnie odmienne zdarzenia w jeden łańcuch przyczynowy.

Norwid, który był bardzo przesądny („jestem strasznie przesądny“ — pisze gdzieś — „...ale przesąd... jest jednym z dowodów indywidulnej naszej nieśmiertelności“), wytężał uwagę, aby przed lub choćby po jakiemś wielkiem zdarzeniu (np. śmierci) zaobserwować poprzedzające je, a wróżebne, słowa, gesty, czyny.

Najdobitniejsze przykłady tych mistycznych związków znajdujemy w „Czarnych Kwiatach“ i „Menego“, ale i korespondencja Norwida pełna jest podobnych spostrzeżeń, które poeta z lubością przytacza i rozpatruje (więcej o tem napiszę w pracy: „C. Norwida konstrukcje kompensacyjne“).

Tyle o mistycyzmie Norwida. Na zakończenie przytoczę tu jeszcze wiersz, w którym poeta, z ironicznym uśmiechem, odpowiada swoim sceptycznie nastrojonym przeciwnikom:

„Mistyk? jest błędnym — pewno!
Więc i mistycyzm nie istnieje?
Tylko jest próżnią rzewną,
Snem — nim rozdnieje...

Góral? na Alpów szczycie,
Jeżeli się zabłąka w chmurę —
Czy wątpi o jej bycie,
. . . .

Błądząc — powtóre?”

JULJUSZ WIKTOR GOMULICKI

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ III

POGANKA

„Poganka” Narcyzy Żmichowskiej. — Charakter kompozycji. — Psychologja kominka. — Demonizm sztuki i miłości. — Bajka na modłę Hoffmanna. — Aspazja — czarownica. — Zaprzaństwo.

I

W TRZY LATA po „Morenie” A. Tyszyńskiego ukazała się w Warszawie „Poganka” Narcyzy Żmichowskiej, niepospolite zjawisko literackie z pogranicza poezji i powieści. Utwór ten, napisany w roku 1845 i wykończony w 1846, autorka ogłosiła w lecie i w jesieni tego roku w „Przeglądzie Naukowym”, redagowanym przez Hipolita Skimborowicza. W całości „Poganka” mogła być czytana dopiero po wyjściu „Pism” zbiorowych Żmichowskiej w r. 1861. Tam pojawiła się wraz z „Obrazkiem wstępnym”, który w „Przeglądzie” przez dyskrecję, jako zawierający galerję osób niewątpliwie portretowanych, był pominięty.

Zaznaczam te okoliczności bibljograficzne z dwu powodów: 1) literackiego; utwór bez tego obrazka wstępnego nie mógł w swoim czasie robić wrażenia kompozycji wykończonej, nie usunięte bowiem z toku opowiadania refleksy tego obrazka były dla czytelnika niezrozumiałe, i 2) ze względu historycznego. „Poganka” dopiero przez związanie z owym obrazkiem mogła się stać dokumentem epoki, w owym więc czasie (1846 — 1861) nie wywołała wśród współczesnych odpowiedniej reakcji. Tej właśnie reakcji obawiali się zapewne i autorka i redaktor „Przeglądu”. Ale o tem potem, przyjrzyjmy się samej powieści.

Autorka nie prowadzi jej od siebie; opowiada kto inny z jej towarzystwa; ona sama słucha. Opowiadający, oznaczony imieniem Benjamina, jest sam bohaterem opowieści, której treścią jest dramat namiętności miłosnej. Benjamin, opowiadający tę bajeczną historję, jest już szczątkiem człowieka, ruiną duchową, serce ma spalone na żużel, przypomina Edwina z noweli Tyszyńskiego („Zaprzaniec”). Ożywił go chwilowo nastrój towarzystwa, rozprawiającego przy kominku o miłości i, jakby go zajął płomień z owego kominka, rozgorzał wspomnieniem. Decydującym momentem psychicznym, że się na to opowiadanie zdecydował, zwykle tajemniczy i milczący, był właśnie ów kominek, który w jego życiu znamienną odegrał rolę.

Benjamin opowiada swoje życie od dzieciństwa. Urodzony i wychowany w dworku wiejskim, najmłodszem był dzieckiem wśród licznego rodzeństwa, dlatego nazwano go Benjaminkiem. Dokładna informacja biograficzna potrzebna była autorce dla ustalenia tezy, że wszystko w życiu Benjamina składało się na to, aby to był człowiek normalny, zdrowy na ciele i na duchu, przydatny do pracy gospodarczej, obdarzony zmysłem rodzinnym i obywatelskim, a więc tradycjonalizmem, praktycznością, bezpośredniością w stosunku do zagadnień życia, a z drugiej strony bogaty darem miłowania i ofiary, a nawet talentami. Dorastał, jako pacholę, w warunkach doskonałej kultury ciała i ducha. Wytrzymywał znakomicie wszystkie próby zetknięcia się bezpośredniego z przyrodą (przygoda z wilkiem), a tej sile wyrostu fizycznego towarzyszyło wybujanie ducha pod wpływem ciepłej atmosfery miłowania. Pokazany jest w tej autobiografji lat dziecinnych czar miłości powszechnej, stanowiącej podstawę normalnej kultury chrześcijańskiej i narodowej w ramach życia rodzinnego. Duży nacisk kładzie autorka na patrjotyzm, oczywiście przy pomocy domyślników ze względu na cenzurę. Wogóle cały utwór trzeba czytać z tą domyślnością, jaką mieli ojcowie nasi w czasach niewoli.

Opowiedziawszy te lata dziecinne, Benjamin zwraca się do słuchaczy:

— „...Zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moją. Wiecie, że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym. Kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych sumarjusz. W przydatku do niego nauczyłem się

górnictwa i mając rok siedemnasty, zostałem górnikiem".

Tak się kończy rozdział pierwszy. Ogień na kominku płonął... „Autorka w fotelu wygodnie zasiadła, żeby zbiska mogła widzieć wszystkie fantasmagorje tlejących węgli i wybuchających płomyków... Według swego zwyczaju trzymała w ręku bronzowe szczypce i trącała niemi o rozpalone głownie, żeby z nich nowe iskry wypryskiwały i w górę jedna za drugą goniły"... „Gdy rozniecony ogień w nierówne zacznie połyski dziwaczyć, to z tej masy wychylają się takie szydercze twarze szatanów, takie straszliwe potworów głowy i takie liście roślin nieznanych i takie kształty nieznanych istot, że mimowolnie czasem bojaźń przejmie"...

Przytaczam te urywki o psychologji kominka z innego utworu Żmichowskiej[1]), bo te podniety i źródła wyobraźni są dla tej autorki bardzo charakterystyczne. Miała w sobie coś z wróżki, widziała wszędy „życie dwoiste", jakby wierzyła w czary, chętnieby wróżyła z płomyków palącego się lnu. Lubiła bajki, jak te w utworze jej „Prządki". Z natury talentu była realistką, badała ludzi, których jak ową głownię poruszała, aby dobywać z nich iskry i snuć fantasmagorje. Napewno kogoś „zamyśliła" sobie i w ogniu mu wróżyła. Potrzebne to było jej wyobraźni.

II

Cóż dalej się stało?... Była właśnie wigilja Bożego Narodzenia i już siedziano przy stole, gdy oto zjechał do domu rodzinnego starszy brat Benjamina, Cyprjan, malarz. Dawno go już tutaj nie widziano. Lata całe wędrował gdzieś po świecie, goniąc majaki ideału piękna. Zoczył taki ideał żywy w postaci pięknej kobiety, ale że mu ona w duszę zapadła, chciał ją w dziele sztuki wyobrazić bezwzględnie piękną, taką, jakąby powinna być, gdyby potrafiła kochać. Piękno, sztuka, miłość — miały się złożyć na arcydzieło. Ale w duszy artysty pożądanie tego ideału urosło do potęgi demonicznej, gotowej do niszczenia koło siebie wszystkiego, jeśli m.. to do tego celu się przyda.

To wszystko wyszło na jaw potem. Psychologicznie było ważne narazie to, że gdy na widok Cyprjana wszyscy porwali się od stołu, Benjamin uczuł bolesne serca ściśnienie, którego nie mógł odróżnić od radości. Ból się wzmógł, gdy brat zamiast go uściskać, wparł się w niego oczyma malarza. Benjamin, o czem nie mówiliśmy, był bardzo piękny. Cyprjan odnalazł poszukiwanego do obrazu modela. I tu właśnie zawiązek dramatu. Kobieta owa miała być w obrazie Aspazją, Benjamin zaś musi być — Alcybiadesem.

Cyprjan jest ofiarą sztuki takiej, jak ją pojął, ofiarą swej namiętności artystycznej. Serce ma już spalone, wypadł z fizycznej równowagi, jest suchotnikiem, pożeranym gorączką ciała i ducha, działa jak w hypnozie. W kompozycji swojej chce wyrazić miłość, która czyni obie postaci pięknemi bezwzględnie. Dla wymarzonego ideału Aspazji nie mógł dotąd znaleźć partnera, widzi go teraz w swoim bracie najmłodszym. On będzie Alcybiadesem! Ale na to trzeba, żeby miłością do Aspazji rozgorzał.

Cyprjan wie zgóry (wie po sobie), że gotuje bratu nieszczęście. On sam już kochał się był w Aspazji, ale wzajemności nie zdobył. Wśród głębokiej nocy tego dnia wigilijnego chłopiec obudził się przerażony. Cyprjan stał nad jego łóżkiem ze świecą w ręku. „Przez rozchełstaną koszulę widać było jego piersi zapadłe i wszystkie kości z anatomiczną dokładnością z pod skóry się rysowały — rzekłbyś, że to szkielet zlekka tylko błoną pociągnięty, lecz za to całe życie z trupich piersi do twarzy jego uciekło". Twarz była młodzieńcza, roziskrzona, purpurą krwi wypełniona, „czoło jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące — głowa wskrzesiciela na ramionach umarłego".

Pomimo chłodu w pokoju suchotnik siadł w koszuli na łóżku brata i wmawiał mu sen o Aspazji. Wmawiał mu potrzebę szaleństwa, „jakby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotemi stawkami". Rozgarniał mu włosy chudemi rękoma i dalej huraganową namową wskazywał obrazy miłości.

— „Czy ty roznmiesz tę chwilę — mówił — w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i jest kochana? Kobietę piękną, silną w namiętności, świętą w duchu swoim"? „Takie kobiety — mówił — są. Możesz spotkać którą i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach... A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością, rozkoszy twojej rozpustą. Zmysłowość będzie ledwie formą najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem, rozkosz sama na świadectwo przeciw rozpuście stanie"...

A ten słuchał, nie mogąc oprzeć się urokowi, krew w żyłach wzbierała i cicho szepnął: „kusicielu!"

Brat się nachylił, pocałował w czoło Benjamina, „ale nagle świeca, którą trzymał, zadrżała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła". Cyprjan leżał nieprzytomny, przewieszony na krawędź łóżka. „Krew kawałami z ust waliła, był przerażający, żółtej bladości". „W tej chwili dzwonić w kościołku na mszę pasterską zaczęto".

Tu przerwało opowiadający, bo mu się słabo na to wspomnienie zrobiło.

Żmichowskiej talent można zmierzyć tą odległością, w jakiej zostawiła za sobą naiwny schemat tego samego zagadnienia — sztuka i życie — w „Morenie" Tyszyńskiego. Inny też ma pogląd na sztukę: tam sztuka uszlachetnia przez kulturę, tutaj jest siłą niszczycielską i przez to tragiczną. Co najciekawsze, że moralizatorka Żmichowska niema wcale zamiaru w tej powieści wytaczać procesu Cyprjanowi. Widzi w nim siłę fatalną, silniejszą od nakazów etyki. On, jak się potem pokaże, mniej był odpowiedzialny za to, co się stało, niż Benjamin.

— „Niech z drogi twego życia Bóg artystów usunie" — mówi przez usta Benjamina. — „Gotowiście się rozgniewać na mnie wy wszyscy rozkochani w piękości i sztuce, a ja przecież nie o was mówię. Sztuka i piękność, do życia wzięte użyciem, przynależą się każdemu, lecz być artystą... znaczy tylko być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnem miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość — nic więcej... Artysta tworzy — nie kocha... Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo

[1]) „Życie dwoiste" (Biała Róża). Ob. wydanie Z. Szmydtowej w książce „Z dziejów literatury polskiej w. XIX". Warszawa, 1929. S. 146 i 144.

ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać... Ale jak tworzy, na co tworzy? To już artystycznej nie stanowi natury. Czasem tworzy okropnemi sposobami: żeby namalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka"...

Benjamin potem dopiero zrozumiał, o co Cyprjanowi chodziło, a gdy zrozumiał, że mus przyrodzony nim władał, przebaczył mu. A przebaczyć trzeba było wiele, bo własne zatracenie. Cyprjan poddawał bratu stany uczuciowe i obrazy póty, póki nie dopiął swego, że wreszcie Benjamin płonął już miłością do ideału Aspazji; wtedy chwytał jego rysy i wyraz: obraz postępował...

III

Opowieść wspina się wgórę... Poczęta w nizinie życia rodzinnego, wkraczała — w miarę dojrzewania duszy Benjamina — w sferę jakichś tajemnic, przejmujących dreszczem, a zrozumiałych tylko wtajemniczonym w psychologję piękna i sztuki. Wreszcie w tem miejscu, kiedy chłopiec doszedł już do tego stanu, że za sprawą sztuki obudził w sobie wysokiego napięcia uczucie dla w y o b r a ż e ń o czarach miłości, życie jego staje się już bajką fantastyczną. Autorka wkłada w usta Benjamina dalszy ciąg opowieści, zrobionej już manejerą bajki Hoffmanna. Nie dba o realizm i prawdopodobieństwo, umyślnie stylizuje bajkę.

Oto stało się, że Benjamin w porę przedwieczorną dusznego dnia lipcowego wyruszył konno na wycieczkę do miasteczka. Po drodze w lesie koń spłoszony poniósł go. Pędził tak przytulony do grzywy końskiej; jak Farys ściga się z chmurą, pędzi przez pola i lasy, dostaje się w jakąś okolicę pustynną i tu w ciemną noc widzi zdumiony płonącą światłem górę. Odgaduje, że ma przed sobą ciężki blok zamku, gorejący oświetlonemi oknami. Gna za nim burza, słyszy przytem tętent za sobą. Przecina mu drogę jakiś czarny cień jeźdźca; w błysku pioruna rozpoznaje twarz kobiety. Jest widocznie w transie wyścigowym, ktoś tam za nią pędzi. Amazonka nie pozwala się prześcignąć. Konie zrównały się i pędzą obok siebie; coś je połączyło magnetycznie. Cwałują na zamek, tam rozwierają się bramy — konie wpadają na dziedziniec.

Milcząca służba odbiera konie. Kobieta znikła, a Benjamina, który jest jak we śnie, służba prowadzi w głąb komnat. U drzwi stoi murzyn (Zymio Tyszyńskiego).

Benjamina — powiem zgóry — porwała czarownica. Znalazł się on w jej zaczarowanym zamku gdzieś na „Łysej Górze". Dla świata była to wielka dama; służba nazywa ją hrabiną. Ona jest właścicielką zamku. Biorą Benjamina w obroty dwaj młodzieniaszkowie cudnej urody, bardzo figlarni. Na oko — paziowie hrabiny, ale w rzeczywistości były to gnomy. Proponują Benjaminowi, aby wybrał dla siebie kostjum balowy, dziś bowiem odbędzie się w zamku wielki bal kostjumowy. Benjamin decyduje się na strój górala tatrzańskiego.

W tym stroju, piękny jak cherubin, staje w obliczu pięknej gospodyni. Była to właśnie owa amazonka, którą poznał w świetle pioruna. Ona i otaczające grono dam zachwycają się urodą Benjamina. On oczarowany nadzwyczajną pięknością hrabiny i odkryciem, że ona to właśnie jest ową Aspazją z obrazu Cyprjana, przytłoczony jej wzrokiem, nie mógł poruszyć się z miejsca.

Pytany o miłość, odrzekł pytaniem:

— „A jak ty kochasz kobieto, Aspazjo?"

— „Kocham, jak śpiewam, a wiem, że kocham tylko wtedy, kiedy śpiewam".

Podano jej lutnię kryształową złotostrunną. Ale struny tylko jękły przeraźliwie, i lutnia rzucona na marmur posadzki szkliście rozbrzękła.

— „Czy rozumiecie, co to znaczy? — rzekła Aspazja. — To znaczy, że ja kocham, jak Bóg — zniszczeniem i tajemnicą".

— „Nie, pani, to szatan tak nienawidzi!"

— „Co ty wiesz, góralski chłopcze! Szatan i Bóg, nienawiść i miłość, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności?"

Tu następuje scena, z przedziwnym artyzmem pomyślana, Benjamin pozostawiony pod opieką owych pacholików szatanków, wysłuchuje ich pieśni na temat miłości. Słucha ich, jak Konrad w celi, gdy mu Aniołowie śpiewali. Pierwsza pieśń tchnęła bachancką zachętą do miłości, jako użycia zmysłowego, a druga uderzyła w najczulsze struny duszy Benjamina, bo mu przypomniała naukę matki o miłowaniu idealnem. Ale gdy go te pieśni rozszarpnęły na poły, bo były to głosy w nim ścierające się, jego własny dyssonans wewnętrzny, — wtedy obaj śpiewacy cynicznie śmieli się z jego męki.

Zrozumiał, że stoi nad przepaścią. W świetnej ciżbie gości szukał hrabiny Aspazji, aby ją pożegnać. Powiedział jej, co myśli o jej ponętach, o jej saturnaljach i o jej upadku. A ona się śmiała, znajdując tylko jedno dla jego męki określenie, że jest nudny.

Odjechał, przebrawszy się w domowe szaty. Słońce poranne zastało go w domu rodzinnym.

IV

Mógłby na tem być koniec powieści. I kto wie, czy pierwotnym zamiarem Żmichowskiej nie było tutaj właśnie zamknąć rzecz finałem. Stało się inaczej.

Benjamin zastał w swoim pokoju wielkie płótno. Był to wykończony przez Cyprjana obraz: hrabina Aspazja, a u jej stóp Benjamin-Alcybiades. Był też i list, donoszący o śmierci Cyprjana. Dopiąwszy swego, umarł.

Benjamin, porażony tą wieścią, zrujnowany wrażeniami nocy, w szaleństwie przebytej, zapadł w gorączkę. Znęcały się nad nim sny ciężkie, w których nie opuszczało go widmo Aspazji, aż pewnej chwili w stanie nieprzytomnym wyrwał się z domu, i jak zaczarowany biegł ku zamkowi. Zagrodziła mu drogę woda. Byłby się utopił, gdyby nie traf, czy przeznaczenie, że właśnie piękna Aspazja płynęła na łodzi. Wyratowała go, zabrała do zamku, aby go tam uczynić swoim niewolnikiem.

Kiedy Benjamin przychodził już do zdrowia i począł się dobijać do kryształowego serca Aspazji, wspomniał z goryczą Cyprjana, który zapewniał go, że Aspazja pokochać go musi.

— „Któż to jest ów Cyprjan? — pytała. — Dziwna rzecz, nie znam go wcale".

Zapomniała. Ale tu moment nastał zwrotny:

— „A jednak zaczekaj — rzekła. — Kochać... Kochać ciebie? Oh, czy to ja nie tego szukałam

właśnie! Kto wie: czemuż jabym cię kochać nie miała?"

I zaczęła się miłość wzajemna, owa miłość ze strony Benjamina, którą w przedmowie autorka nazwała namiętnością, miłość — nieszczęście, a ze strony Aspazji miłość z kaprysu: miłość grzech.

Alcybiades pozostał w zamku. Uwił gniazdo na szczycie marzeń o bezwzględnem szczęściu, pięknie i rozumie. I tu autorka stawia nam przed oczy proces likwidowania się duszy Benjamina. Bardzo ważny moment analizy psychologicznej.

— „Najpierw"— opowiada o tem sam —„oddałem jej wspomnienie umarłego brata. Wciągnęła je z pocałunkiem, rozwiała na słowa. Potem oddałem jej wszystkie moje upodobania. Przestałem kochać kwiaty"...

Zatracił więc miłość rodzinną i do przyrody. A gdy raz podczas podróży na południe, pewno we Włoszech, wskazał kochance piękno nieba, odtąd „Aspazja częściej w niebo patrzyła, a ja gwiazdy kochać przestałem". Kiedy gdzieś posłyszano miłosną piosnkę ludową, to i tej czar oddał w dani kobiecie i odtąd przestał kochać pieśni.

Co najboleśniejsze: zaczęły nadchodzić listy, wzywające Benjamina do kraju. Autorka ten motyw maskuje (dla cenzury) pozorem listów rodzinnych, ale widać, że chodzi o służbę dla kraju:

— „Benjaminie — pisał ojciec — przy urodzeniu twojem błogosławiłem, że się człowiek światu narodził, że przybyło jedno serce do kochania, dwie ręce do użytecznej pracy. Serca i rąk nam dziś trzeba (rok 1846!), wracaj do nas!"

Matka pisała: „Benjaminie, w mojem łonie cię nosiłam. Z moich piersi mleko ssałeś; ty wrócisz, kiedy matka w smutku i potrzebie zawoła: Synu, synu, wracaj do nas".

Benjamin nie mógł już wrócić. Aspazja wytłumaczyła mu, że tam jego skarb, gdzie jego serce. „Od bieguna do bieguna ziemia jest naszą". Oddał jej wszystkie uczucia i „nie przerażała go nędza moralna". A w próżni ducha zaczęły się rodzić złe uczucia: zazdrość i nienawiść. Aż razu pewnego, gdy spostrzegł czającą się w duszy Aspazji zdradę, zamordował współzawodnika.

Wtedy Aspazja odepchnęła od siebie Benjamina. Był to już łachman człowieka. Wziął swój dawny płaszcz i odszedł o kiju podróżnym.

Opowieść spada z wyżyn bajki fantastycznej z powrotem do poziomu, na którym się poczęła. Pielgrzym wraca do domu, ścigany szyderstwem obcych i wyrzutami sumienia. Niezdolny jest do życia, błąka się w pustce. Postanawia wreszcie przeciąć pasmo mąk przez spalenie obrazu, który był przyczyną jego niedoli. Właśnie paliło się na kominku tak, jak teraz, gdy swoją historję opowiada. Patrzył tępo na zniszczenie, jakie ogień czynił, liżąc i trawiąc płótno. Zginęło w popiele oblicze Aspazji. Potem doniesiono mu, że właśnie wtedy, gdy obraz się palił, Aspazja dostała konwulsji, zczerniała i — zmarła.

— Poganka! — zakonkludował Benjamin ku przerażeniu słuchaczy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

KANTYCZKA NA ŚWIĘTO

M. B. ZIELNEJ

Panno Święta,
Uśmiechnięta,
Słodko zaśniona,
Do kościoła
Przyjm dziś zioła,
Kwiaty, nasiona.

Z pola kłosy,
Z lasu wrzosy,
Krwawnik, miętę, ślaz,
Jarzębiny
I kaliny
Korale bez skaz.

Jabłko z sadu,
Winogradu
Purpurową kiść,
Mak, rzodkiewkę,
Też marchewkę
I sałaty liść.

Słoneczniki
I goździki,
Wianek z astrów, róż,
Skromne kwiaty
Z naszej chaty
U stóp Swoich złóż.

Przyjm te dary
Polskiej wiary,
Matko jedyna,
I za nami,
Grzesznikami,
Módl się do Syna!

Panno Święta,
Wniebowzięta,
Śliczniejsza niż kwiat,
Broń od złego,
Ludu Twego,
Broń dusz, ciał i chat.

Chroń zagrody,
Konie, trzody,
Owcom daj wełnę,
A sąsieki
I pasieki
Niech będą pełne.

Panno Święta,
Wniebowzięta,
Łaski krynico,
Tobie chwała
Wiecznotrwała,
Bogurodzico!

15 sierpnia 1935 r.

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Park narodowy czy lunapark. — Śluby składane przyrodzie i koncesjonowany rozwód. — Rozbudowa kultury w górach. — Pawlikowski o ideałach mieszczańskich.

PRZYPOMNĘ dzieje triumfalnego pochodu kulturalnej idei polskiej w sprawie ochrony przyrody, a przedewszystkiem Tatr. Radzi byliśmy i dumni z tego, że wolna Polska stanęła odrazu w pierwszym szeregu narodów, które się poznały na wartości, jaką przedstawia bezinteresowny kult przyrody.

Przyroda i kultura duchowa wydają się prostakom rzeczami niewspółmiernemi, a jednak jest moment, kiedy kultura bije czołem przed przyrodą. Staje się to wtedy, gdy człowiek dojrzeje w swojej kulturze duchowej i z prostactwa, dziwującego się zdobyczom techniki i niewybrednego w uciechach, dojdzie do prostoty, która z całą świadomością i pokorą korzy się wobec Boga i Jego dzieł w przyrodzie. Wtedy nieużytek taki, jak pustynia skalna, znajduje w jego oczach i w duszy należytą ocenę i miejsce.

Odkrywcami piękna i pożytku duchowego dzikiej przyrody, choćby na okaz zostawionej w charakterze ołtarza przyrody,—są poeci i wielcy artyści. Kulturalne są społeczeństwa, które dają dostęp do siebie argumentom ludzi, przodujących w kulturze ducha. To też szczęśliwi byliśmy, że odrodzona Polska zastanowiła się nad tem, co ma robić w Tatrach i, mając do wyboru albo wzory przemysłowej i niewybrednej Szwajcarji, która Alpy chętnie wydzierżawiłaby na reklamy, albo radę swoich przodowników w kulturze, że Polska poszła w tym drugim kierunku. Powstały ustawy i instytucje ochrony przyrody; zrodziła się cała—bardzo piękna—literatura tego zagadnienia. Potrafiliśmy nawet wpłynąć na Czechów, z którymi podzieliliśmy się Tatrami, że zastosowali się do naszych wskazań. Przodowaliśmy.

Mam w ręku broszurę St. Sokołowskiego „Tatry jako Park Narodowy", wydaną w Krakowie 1923 r. Kto ją wydał swym nakładem? „Państwowa Komisja Ochrony Przyrody". Ostatnie słowa tej broszury brzmią tak:

„Tak się przedstawia w ogólnych zarysach postulat utworzenia z Tatr Parku narodowego.

Projekt ten opracowany na podstawie referatów i dyskusji na wspólnym Zjeździe Państw. Komisji Ochrony przyrody i Sekcji Ochrony Tatr Towarz. tatrzańskiego, tudzież na podstawie gruntownego namysłu i informacyj, zasiągniętych u osób miarodajnych, przekazujemy pod rozwagę społeczeństwu polskiemu.

Niechaj ono rozstrzygnie, jaki los spotkać ma nasze Tatry, czy po niewielu może latach świecić mają na zboczach regli gołe zręby i nagie pniaki, w Roztoce i pod Świnicą rozlegać się ma łoskot rozsadzanych dynamitem turni granitowych, ciszę dolin przeszywać ma co chwila świst lokomotywy, a na szczytach wznosić się mają hotele z nieodłącznym swym gwarem i brudem, — czy też mają one stać się krynicą ciszy i ukojenia, oazą niezrównanego piękna, świątynią dla ducha i kultury polskiej.

Ale niech społeczeństwo nie zapomina, że niemasz dla Tatr żadnej drogi pośredniej; że wykluczony jest wszelki kompromis na tym jedynym maleńkim skrawku alpejskiej przyrody, jakim szczycić się może ojczyzna nasza.

Niechaj pomni społeczeństwo, że postulat ten nie jest mrzonką, wylęgłą w umysłach kilku fanatyków i marzycieli, lecz wyrazem ducha polskiego, łaknącego dobra i piękna, kroczącego niezmiennie ku doskonałości, i że nie wolno nam burzyć ścieżek, wiodących do tego celu, pod grozą odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń".

Zdawało się, że sprawa wzięta była na serjo. W ciągu 12 lat od tego czasu nie ogłaszano żadnych zmian w tym stanie rzeczy. Przebąkiwano, że jacyś przedsiębiorcy nie są z ochrony zadowoleni i że pragnęliby w Tatrach zrobić coś „postępowego: Nie wierzyliśmy, aliści teraz z Zakopanego donoszą do „Kurjerara Poznańskiego":

„Turnia Myślenicka, na której ma powstać stacja przesiadkowa kolejki linowej, jest już na wierzchu zniszczona. Na przełęczy pod samym szczytem niweluje się teren skalny przy pomocy dynamitu. To samo nad lasem limbowym na stoku turni. Sławne limby kasprowskie są już dziś uszkodzone, a gruz sypie się do lasu. W Suchej Dolince robotnicy wycinają drzewa i wytyczają przerębowe linje. W ochranianym lesie powstały trzy nowe drogi, któremi dowozi się materjał budulcowy.

W ten sposób zlekceważono opinję kulturalnego społeczeństwa, najpoważniejszych organizacyj naukowych i turystycznych".

A jednocześnie druga wiadomość:

„Dziś ogłoszona została jednomyślna decyzja członków Państwowej Rady Ochrony Przyrody, powzięta na posiedzeniu w dniu 13 sierpnia r. b. w Zakopanem. Na zebraniu tem przewodniczący Rady, prof. dr. Władysław Szafer, po sprawozdaniu za rok bieżący, zgłosił swe ustąpienie ze stanowiska delegata min. W. R. i O. P., motywując swoją rezygnację faktem nieliczenia się czynników urzędowych z opinją Rady w sprawach ochrony przyrody, a głównie w sprawie kolejki linowej na Kasprowy.

Wszyscy chłonkowie Rady postanowili solidaryzować się ze stanowiskiem i ideologją prof. W. Szafera, twórcy współczesnego ruchu ochrony przyrody w Polsce i złożyć swe mandaty. Na deklaracji złożyli swe podpisy członkowie Rady, profesorowie wyższych uczelni: dr. S. Dziubałtowski, dr. W. Goetel, dr. J. Grochmalicki, dr. B. Hryniewiecki, inż. A. Kozikowski, dr. S. Kulczyński, dr. M. Limanowski, St. Małkowski, dr. J. Gw. Pawlikowski, dr. M. Siedlecki, dr. J. Smoleński, dr. Sz. Wierdak, dr. A. Wodziczko".

Po namyśle pchnięto nas na drogę uprzemysłowienia Tatr. Ktoś zarobi, a motłoch będzie miał wspaniały „lunapark", w stylu judeo-polskim. Parku Narodowego wam się zachciało? Narodowego!

W r. 1913 członek Akademji Umiejętności, twórca ideologiczny wcielonej w życie „ochrony przyrody", dotychczasowy członek Komisji państwowej tej ochrony, Jan Gwalbert Pawlikowski, w znakomitej rozprawie „Kultura a natura" pisał w tej materji jak następuje:

„Żywą siłę kultury stanowią ludzie, którzy przynoszą ludzkości nowe idee. Ale kiedy idea się przyjmie, rzuca się na nią tłum podludków. Idea ukochania przyrody, wyniesiona na targowisko jako moda, została wprowadzona w życie pod dwoma hasłami: upiększania i uprzystępniania przyrody. Niewątpliwie w przyrodzie znieprawionej niejedno byłoby do upiększenia, choćby drogą przywrócenia do dawnego stanu. Ale tego było najczęściej burżuazyjnym protzom za mało. Powstawały więc sztuczne skały i groty, poetyczne nazwy i poetyczne napisy, altany i wieże widokowe. A gdzie burżuj za swoje pieniądze mógł sobie pozwolić na szczególnie subtelne odczuwanie przyrody, tam umieszczał po lesie pośród paproci gnomki terakotowe, na skale stawiał blaszaną kozicę, lub budował świątynię Odyna albo Walpurgishallę.

„Podobnym losom uległo uprzystępnianie dzikiej przyrody. Ludzie przejęci jej pięknością chcieli się nią z drugimi podzielić. Poczęli ułatwiać do niej dostęp, robiąc ścieżki, budując schroniska. Pojętne podludki zrozumiały, że dzika natura musi być piękną, bo tak chce duch

czasu. Ale że człowiek współczesny potrzebuje komfortu, schroniska zamieniły się w hotele, czemu przemysł gospodnio-szynkarski przyszedł z ochotną pomocą. Jest to przecie w interesie wyższej kultury, jeśli umiłowanie dzikiej przyrody staje się nowem źródłem bogactwa krajowego, którego reprezentantami są panowie hotelarze. Ścieżki opatrzono w poręcze i drogowskazy, drogi zamieniono w gościńce, a wreszcie sztuka inżynierska dokonała dzieła herostratowego, zbeszczeszczając szczyty górskie przez wprowadzenie na nie kolei żelaznej.

„Kelner hotelu na Rigi, obiegający za napiwek korytarze i oznajmiający głosem konduktora wywołującego stacje, wschód słońca, stary wyranżerowany przewodnik, robiący nastrój przy tej okazji na pasterskiej trombicie, pasterz, który od swego prymitywnego zawodu przeszedł do kulturalniejszej, bardziej uszlachetniającej roboty odbierania myta od turystów, którzy chcą wejść na szczyt, będący jego własnością lub otwierający drzwi od budy, którą obudowany jest wodospad, nawiasem mówiąc, odwrócony zwyczajnie na turbinę, a produkujący się, stosownie do wynagrodzenia, za pociągnięciem linki jako wodospad duży lub mały, z oświetleniem lub bez oświetlenia.

„Oto idea „*du promeneur solitaire*", idea odżycia duchowego na łonie przyrody, urzeczywistniana przez kulturę w karawanserajach alpejskich hoteli, oto „*ergangene Gedanken*" Nietzschego, wyszachrowywane od przyrody na wygodnych siedzeniach zębatych kolejek!..

„Kultura robi to, co pewien kacyk murzyński, który w swej pańskości kazał żuć swój pokarm niewolnikowi. Oto, co zrobiono z owych źródeł zdrowia i siły, z miejsc, w których duch miał powracać sam w siebie dla odnalezienia siebie samego... Najpiękniejsze góry świata, znieprawione filisterską kulturą, stają się bezwartościową kupą gruzów. Jedyną korzyść, jaką dać mogą, jest przyjemność powiedzenia, że się tam było. To też filistrzy podpisują się po wszystkich kamieniach, a prawdziwi miłośnicy przyrody, którzy ten prąd rozpętali, podobni owemu uczniowi czarodzieja, co niebacznie rozpętawszy moce szatańskie, sam ujść przed niemi nie może, daremnie uciekają coraz dalej, szukając nowych samotni, wszędzie, jak zgraja ogarów, ściga ich krzyk i zgiełk filistrów, wszędzie spotykają nienawistne ich ślady, aroganckie podpisy, głupie wierszydła, puszki ze sardynek, tablice pamiątkowe, zatłuszczone gazety i potłuczone butelki. Wypasiona ich myślą filisterska „kultura" odnosi drwiący triumf nad naiwnymi „romantykami".

Michał Pawlikowski do tych słów ojca dodaje („Człowiek w obliczu gór" 1934):

„Przyroda, a z nią i góry, przedewszystkiem góry, które najdłużej zachowały jej nietkniętą czystość, dostaje się pod opiekę prawa. Po całym świecie tworzy się rezerwaty i parki natury. Opieka ta coprawda przychodzi nieraz zapóźno, bo ją zdąży zawsze wyprzedzić skrzętna i pilna głupota i czujna brutalność interesu aferzystów. Wyprzedzają one wyniki wiedzy i bohaterskie ataki pionierów. Jeszcze nie wdarto się na najwyższy szczyt Himalajów, a już pojawiły się projekty zbudowania tam kolei żelaznej.

„W Tatrach wałkuje się po obu stronach granicy ustawę o parku narodowym, zamierzonym najwspanialszym rezerwacie w Europie, a tymczasem po obu stronach granicy ludzie tej wielkiej idei walczą z naporem barbarzyństwa. Don Kiszot szczęściem czy nieszczęściem umarł bezdzietnie, ale Sancho Pansa się rozmnożył razem ze swoim osłem i wykonuje na swój sposób moralny mandat cywilizacji. Tymczasem artylerja czeska porobiła drogi i pozycje pod działa, wycina się lasy Jaworzyny, jeziora obudowuje się coraz gęściej, wmurowuje tablice po szczytach.

„Po obu stronach stara się uprzedzić wejście w życie ustawy wyścig interesu. Na wieść o pierwszych projektach budowania kolejki na Łomnicę, 72 towarzystw naukowych, krajoznawczych, kulturalnych, sportowych i technicznych w Polsce wystosowało publiczny apel do 47-iu takich towarzystw czesko-słowackich, w którym podkreślono, że plany kolejki poruszyły do głębi opinję polską. Na apel ten odpowiedziała czeska Akademja Nauk i Umiejętności, stwierdzając, iż w zupełności przyłącza się po protestu polskiego.

„Czemże jednak na „wschodzie" jest opinja publiczna, czy opinja przedstawicieli kultury? Czem nawet powołane do tego instytucje państwowe dla ducha geszeftu? Oto usiłuje się nad wszystkiem tem przejść do porządku dziennego i wytycza trase kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje".

Czy można powiedzieć dziś coś wymowniejszego od tego, co pisali Pawlikowscy.

Z. W.

GŁOSY

EWOLUCJA MYŚLI POLITYCZNEJ SFER SANACYJNYCH przeszła drogę poprostu zadziwiającą. Zrodzona w liberalizmie i radykalizmie społecznym oraz „niepodległościowym" romantyzmie, jest dzisiaj zaciekłą wyznawczynią światopoglądu ugodowych „Stańczyków" — „szkoły krakowskiej". Zetknięcie się na jednej płaszczyźnie byłych socjalistów, klepiących utopijne frazesy o rewolucji socjalnej i dyktaturze proletarjatu, z przedstawicielami sfery zawsze zadowolonej z istniejącego stanu rzeczy i bojącej się wszelkich zmian, nastąpiło głównie wskutek rezygnacji pierwszych ze swych dążeń i planów na rzecz programu drugich. Walcząca przez całe życie grupa przyjęła akt wiary tych, którym się w początku swej pracy politycznej jej przeciwstawiała.

Dzisiaj właściwie teoretykiem i ojcem „ideologji państwowej" jest nie kto inny jak Bobrzyński. Przedewszystkiem w ustosunkowaniu się do przeszłości, która, w oświetleniu tego pisarza, była nieledwie jednem wielkiem złem. Dziwny, dodajmy nawiasem, rodzaj konserwatyzmu... Następnie owo ciągłe, ustawiczne chłostanie narodu, niedostrzeganie zgubnej roli żydów no i wreszcie najbardziej charakterystyczny, naiwny nawet w swych przejawach kult silnej władzy.

Dlatego też — można się było już powielekroć o tem przekonać — „szkoła krakowska" jest dzisiaj czemś nietykalnem, jakiemś *tabu*, którego dotknięcie nosi cechy, użyjmy tu panującego obecnie słownictwa, „wystąpienia o charakterze antypaństwowem". Bije przecież w ducha i podstawy najnowszej konstytucji! Wprawdzie są głosy, i to przedstawicieli obozu rządzącego, które zapewniają, że jest ona eksperymentem, o którym dopiero

życie ma powiedzieć ostatnie słowo. Mówi się już nawet, iż próba z nadchodzącemi wyborami do ciał ustawodawczych będzie pierwszem i mocnem ostrzeżeniem, sprawa, mimo wszystko, jakichkolwiek dalszych zmian nie wydaje się tak łatwa. Dziewięć lat t. zw. rządów sanacyjnych wykazało, iż najtrudniej jest właśnie dać państwu trwałe podstawy ustrojowe. Trzebaby szukać przedtem nowego uzasadnienia historjozoficznego. A jeśli nie Bobrzyński, to kto? Jeden z młodszych działaczy sanacyjnych pisał wprawdzie niedawno w „Kurjerze Wileńskim“, że „...młodemu pokoleniu Polski, Askenazy jest bliski, bliższy aniżeli Bobrzyński“, bieda i kłopot w tem, że Askenazy nie stworzył, wbrew panegirycznym zapewnieniom, żadnej syntezy historycznej.

Może się wytworzyć sytuacja bez wyjścia.

TEGOROCZNE wybory mają zupełnie inny charakter, aniżeli wszystkie do tej pory, a jednak sfery sanacyjne używają, jeśli im to jest na rękę, starych, nieistotnych argumentów. Oto np. zachęcają na terenie Ziemi Czerwieńskiej ludność polską do głosowania, dowodząc, iż jej abstynencja może wzmocnić ruski stan posiadania. A tymczasem publiczną tajemnicą jest, że Rusini otrzymają około piętnastu mandatów, że są nawet z tego wcale zadowoleni, tak, że *„Diło”* przebąkuje nawet coś niecoś o „polityce realnej”. „Sanacja“ nie omieszka zapewne tego poczytać za swój ogromnej miary sukces polityczny, wolno jednak zapytać, czy jest on jednocześnie sukcesem narodowym? Słusznie pisze „Warszawski Dziennik Narodowy”, że poza Polską

„...separatystyczne dążności ruskie nie miały już dawno tak złych warunków, jak obecnie. W Sowietach doznają Ukraińcy gwałtownego ucisku, choć właśnie tam popierano niedawno autonomję Ukrainy i język ukraiński. W Rumunji są Rusini niczem. Czechosłowacja, mimo swobód konstytucyjnych, nie pozwala im na seperatyzm w tej mierze, co Polska, czego przykładem jest zakaz używania określenia „ukraiński”.

Zostaje się więc Polska. Tu Rusini (w liczbie około 4.900.000) mają rozległe szkolnictwo państwowe ruskie, choć do tego nie zobowiązywał nas całkiem nawet traktat o mniejszościach. Państwo utrzymuje 600 szkół powszechnych ruskich i około 2.500 polsko-ruskich, 5 gimnazjów ruskich i 2 dwujęzyczne i założyło nawet liceum rolne ruskie. Ponadto istnieje zupełna swoboda prowadzenia prywatnych szkół ruskich, z czego korzystają Rusini, zwłaszcza w zakresie gimnazjów. Cerkiew gr.-katolicka cieszy się niezwykłemi przywilejami co do ilości parafij, uposażenia i płac rządowych dla księży, a cerkiew prawosławna, zorganizowana specjalnie przez carat do walki z polskością, utrzymała — rzecz niezmiernie dziwna—namnożone sztucznie parafje i kościoły zabrane katolikom i uzyskała płace dla wszystkich licznych księży”.

A dalej:

„Wszelkie przejawy odrębności ruskiej nie doznają przeszkód. Czytelnie i spółdzielnie rozwijają się swobodnie, choć są nastawione wrogo wobec polskości. W Polsce stanęli „Ukraińcy” nawet do sabotażowej wojny z państwem,—a nie w Sowietach, choć jest ich tam 8 razy więcej—i posunęli się do licznych podpaleń, rabunków i morderstw, na co nie ważyli się nigdzie indziej. Przeciw Polsce podniecali żydowską prasę zagraniczną i polityków w Anglji, a także we Francji, Kanadzie i w Stanach, a w zamachach sabotażowych doznawali pomocy w pieniądzach i uzbrojeniu ze strony Niemiec”.

Dość dziwnie wygląda więc oblicze dzisiejszych, najnowszych „współpracowników”. I trudno, doprawdy współpracę tę uważać za sukces, jako że

„...jednak „undowcy” nie zdołali ukryć swych cech. Oto wśród ludzi, którzy zostaną posłami, pomieścili tych samych, którzy kierowali, zwłaszcza w r. 1922, polityką sabotażową. To są ci sami ludzie i ten sam system, tylko teraz bardziej ukryty. A więc nawet w najbardziej przymusowych warunkach zmienili „Ukraińcy” tylko formę; treść została nietknięta”.

Jeśli się chce rzeczywiście budować, a nie klecić, to trzeba patrzeć w przyszłość. Zadowalanie się doraźnym, złudnym sukcesem rodzi ogromne niebezpieczeństwa. Trzeba raz już wreszcie skończyć z polityką pozorów.

NAUKA i LITERATURA

„SARA ALELJA“

NIETYLKO w oficjalnych dziejach, w historji całego narodu, ale i w tradycji poszczególnych rodzin polskich trwają, żywe niegdyś, wspomnienia zetknięć lub związków z żywiołem szwedzkim, co sprawia, że skandynawski koloryt lokalny — mimo braku wzajemnych zainteresowań umysłowych i odrębności wyznaniowej—nie jest nam, w sensie podświadomych uczuć estetycznych, zupełnie obcy.

Pamiętamy nietylko, krwawe i katastrofalne dla nas, wojny szwedzkie za Wazów, ale i „przyjacielską“ wyprawę Karola XII, a z tych lat datują się różne związki między przybyszami z Północy i ludnością tubylczą. O jednym takim wypadku osobliwego skrzyżowania wspomina Hildur Dixelius w powieści „Sara Alelja“ (autoryzowany przekład Marcelego Tarnowskiego. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień“, Warszawa — 1935. str. 272)... Magister Joel Sahlén, teolog i przyrodnik, żyjący w okręgu lapońskim na przełomie 18-go i 19--go stulecia, miał prababkę w linji ojca, Polkę z Ukrainy, po której odziedziczył ciemne, nieco melancholijne oczy, wyraźnie odbijające od rysów twarzy, starego västerbotteńskiego rodu pastorskiego.

Te szczegółowe dane biograficzne, skrupulatnie notowane, nadają powieści charakter jakiegoś raptularza; autor potęguje nastrój, wplatając w tok akcji, dla udokumentowania fikcji, urywki z pisanego stylem biblijnym pamiętnika „Sary Alelji“ Unaeus, wdowy po pastorze.

Chyba w żadnym kraju nie zarysowała się tak wyraźnie przepaść, dzieląca wyznawane, surowe, predykanckie zasady od bujnej, usankcjonowanej temperamentem, praktyki życiowej.

Moralność publiczna, będąca rękojmią porządku, znajduje stróża w sługach ołtarza. Biada jednostce, gdy podepcze tę moralność, choćby działała w nieświadomości zła, w niewiedzy zgorszenia! Prawo zostało złamane, prawu musi stać się zadość!

Już u podstaw takiego ustroju kryje się możliwość konfliktu między jednostką a społeczeństwem, nierzadkiego w literaturze skandynawskiej.

„Sara Alelja“, wychowująca nielegalne dziecko zdala od ludzi, w ustronnym „sacterze“, w Rombäcksvall, zwyciężyła szczęśliwie przeciwności losu, ponieważ nosiła w sobie to prawo, w którem trwała niewzruszenie i bez lęku przed ludźmi. Śmiałe spojrzenie, uwarunkowane oczyszczeniem religijnem, zapewniło całemu jej życiu postawę czynnej miłości wobec świata.

Nie wystarcza bowiem bezświadoma dobroć serca do tego, aby stukanie do bramy niebios zostało usłyszane... Głęboki morał książki tkwi w afirmacji życia, polegającej na pełnym siły wewnętrznej stosunku osądzonej przez opinję jednostki do otoczenia. O własną niezależność wewnętrzną trzeba walczyć, nie polegając na ułudnem, acz błogiem poczuciu niezawinienia nikomu w niczem.

Trzykrotna dzieciobójczyni, skazana na śmierć, Lidja, poganka właściwie, choć nominalnie przynależna do kościoła,

to jeden więcej z przykładów nieświadomej siebie, śpiącej duszy, nie umiejącej walczyć o swe usprawiedliwienie, posłusznej tylko zwierzęcym instynktom.

Prawo ją potępiło, a i pastor nie znalazł w swem młodem sercu odrobiny współczucia, chciał jedynie, dla zapełnienia przykrej luki w sprawozdaniu dla władz wyższych, doprowadzić zbłąkaną owieczkę do przyjęcia sakramentów, słusznie obawiając się zarzutu małej sprężystości na urzędzie.

Protestancki formalizm domaskowany jest przez autora w sposób rozbrajająco szczery, z całą swobodą zupełnej naturalności. Nas jednak rażą takie rzeczy, jak królewskie rozporządzenie i przepis o tem, kiedy wolno używać dzwonów kościelnych lub, gdy pastor z powodu niedyspozycji nie mógł iść do kościoła, zaproponowanie wędrownemu scholarowi ze zdanym egzaminem teologicznym, ażeby odprawił nabożeństwo, czego ten dokonał z zachowaniem wszelkich należnych form zewnętrznych, miał nawet odpowiednie kazanie.

Anachroniczny już wówczas, średniowieczny styl „Sary Alelji", jej ostry, ascetyczny profil duchowy traci swą nieskalaną czystość i wyrazistość konturu pod wpływem końcowych epizodów powieści. Nieszczęście, jakie spotkało ukochanego przez nią, o czem sama nie wie, człowieka, staje się dla udręczonej długoletnią pokutą za grzech młodości duszy, olśniewającą błyskawicą, w której blasku dostrzega uśmiech i łzę miłości, co już — zdawało się — na wieki od niej uleciała.

W konserwatywnem społeczeństwie szwedzkiem dochowało się wiele śladów, kontrastujących z ascetyczną surowością — bujności i indywidualizmu średniowiecznego, jak tutaj, choćby w postaci duchownego i scholara, Olafa Martensona Noreniusa, tęskniącego do czystej wiedzy, do odległej krainy nauki klasycznej, wiecznego buntownika przeciw istniejącemu porządkowi — zwierzchności i hierachji pieniądza.

Zadeptany przez mocniejszych, znajduje się on, dzięki i wbrew swej dumie, na dnie nędzy i poniżenia, skąd go wyciąga chrześcijańskie miłosierdzie i wierna, tylekroć odtrącana, przyjaźń Sary Alelji.

Niezapomniana jest, pełna niewymuszonego wdzięku, kreacja córeczki Noreniusa, Ewy Małgorzaty, zmarłej z głodu i zimna, ofiary złego losu tego, zaszczutego przez otoczenie, dziwaka.

Scena z nieznajomym szlachcicem w oberży Grama, ofiarującym dziewczynce upragnione trzewiki skórzane, nie ustępuje w niczem podobnemu epizodowi w zajeździe Thenardierów u Wiktora Hugo.

Lud wierzył i wierzy wciąż jeszcze w czary i gusła, w czem jest podobny w wielu krajach, wśród różnojęzycznych społeczeństw. Tak właśnie, a może więcej niż gdzieindziej, w dzikich zakątkach lapońskiego okręgu Szwecji i Finladji.

Pewien refleks historyczny, zajmowanie północnej Finlandji przez Rosjan, pogłębia tło opowieści, która i przez swój spokój epicki nieraz brzmi starodawną nutą sagi. Ustalona opinja o barbarzyństwie sług cara i tym razem nie odbiega od szablonu.

Bardziej drastyczne usterki przekładu: „...siedziała w kącie przy stole i łupiła drzazgi...," (str. 60), „Norenius potrafił opowiadać o niezmiernie wyborowych wieczerzach..." (str. 75/6), „Nie przypuszczałam, żeby pani wiedziała, że mam dostać (urodzić — przypis. mój) dziecko", (str. 176) i t. p.

ES

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jan Bułhak. „Narocz, największe jezioro w Polsce". Z ilustracjami autora. Nakładem i z przedmową Stanisława Turskiego. Wilno 1935.

Piękno krajobrazów ziemi wileńskiej uwydatniły słynne artystyczne fotografje Bułhaka, zaczem przyszły jego studja krajoznawcze, poematy.

Jezioro Narocz w powiecie postawskim, odległe od Wilna o 110 kilometrów, ma przeszło 80 kilometrów kwadratowych przestrzeni i jest otoczone innemi mniejszemi jeziorami. Samo jednak jezioro Narocz, „morze wileńskie", króluje wśród tych wód potęgą swego ogromu, wraz z tłem brzegów, strojnych motywami gór, piasków i roślinności. Z pod pióra Bułhaka ukazują się widoki czarujące, ujęte w słowa fantastyczne, pełne serdecznego rozmiłowania w efektach polskiej przyrody. Już na wstępie książki porywa wyobraźnię czytelnika pierwsze wrażenie artysty, „po drodze,— czegóż tam niema? Dwory i zaścianki, wioski i sadyby, leśniczówki, gaje, brody, błota i moczyska leśne".

W dalszych rozdziałach talent poety poddaje się nastrojom, Biała Noc, Złoty Dzień, Czerwony Wieczór. Z nastrojami temi rywalizują dołączone do książki ilustracje, kompozycje Bułhaka: Sosna, Przed burzą, Dwa ogromy, Obłąk, Piasek i woda, Trzciny.

Książka ma znaczenie propagandowe dla turystyki. P. St. Turski, miłośnik wody i żeglarstwa, przyjacielski wydawca tej książki, opracował część informacyjną. Podał wiadomości o jeziorze, wiadomości o rozwoju gospodarstwa rybnego w Naroczy i wskazówki, jak tam można do jechać. (A. W)

*

Wiktor Nechay. „Śląsk jako regjon geograficzny". Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice 1935.

„Pod względem politycznym"—rozpoczyna autor swe studjum—„Śląsk jest obecnie rozdzielony na trzy odrębne części, znajdujące się w ramach różnych państw, podobnie jak ziemie polskie przed zjednoczeniem były rozdzielone pomiędzy trzy państwa". Wedle mniemań przed rokiem 1910 ziemie Polski były rzekomo krainą przejściową, wiążącą się z krajami sąsiedniemi. W tym czasie prof. E. Romer udowodnił swym atlasem, że stanowią jednolitą całość geograficzną, więc i w swych granicach naturalnych powinny stanowić jedną całość polityczną. Od wieków drogi wiążą Śląsk z Polską, a z morzem Bałtyckim wpływami klimatycznemi, kulturalnemi i największą arterją wodną Odrą. Budowa topograficzna, jedność klimatyczna i roślinność są wspólne z sąsiedniemi krainami Polski, a różne od krain położonych na zachód. Podział śląskiego regjonu gospodarczego na trzy części, oddzielone granicami politycznemi, niema żadnego uzasadnienia geograficznego ani gospodarczego, a nawet przeciwnie, stwarza gospodarczo szkodliwe warunki. Przedwojenna przynależność Śląska do Niemiec była dla Śląska niekorzystna z powodu odległości Śląska od głównych rynków niemieckich, Prusy na Śląsku prowadziły gospodarkę rabunkową i stale traktowały Śląsk jako obszar eksploatacyjny, zdobyczny, a nie jako integralną, rdzennie niemiecką część Rzeszy.

Odzyskana dla Polski część straconego Śląska może pod rozumną administracją wzmocnić się i zapłodnić ekonomicznie państwo. Studjum Wiktora Nechaya, poparte cyframi i wykresami, i inne cenne wydawnictwa Instytutu Śląskiego wskazują na te możliwości i domagają się ich wyzyskania. (A. W.)

*

Ukazała się interesująca książka Bolesława Cyrulińskiego: „Koncesje zagraniczne w Z. S. R. R." (Wilno 1935 r. str. 223 Nakładem Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej), poświęcona sprawom współdziałania kapitału prywatnego i państwowego na terenie Rosji współczesnej. Autor na wstępie mówi o udziale kapitału zagranicznego w Rosji przedwojennej, omawia następnie politykę koncesyjną rządu sowieckiego i podstawy prawne działalności przedsiębiorstw koncesyjnych, wreszcie daje krótki szkic działalności poszczególnych koncesyj. (J. K.)

*

Ciekawe wrażenia z podróży do Rosji zawiera książeczka Jana Iwasiewicza p. t. „Bezdroża Rosji Sowieckiej". (Warszawa 1935 r. str. 66). Autor nie daje nam syntezy tego, co się dzieje w Rosji. Odnosi się nawet wrażenie, że nie zdaje sobie on całkowicie sprawy z doniosłości dokonywających się w Rosji przemian. Daje nam zato dużą ilość bardzo ciekawych faktów z życia dzisiejszej Rosji, których brak tak odczuwamy. I to jest główna zaleta książki. (J. K.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WRAŻENIA WAKACYJNE

JUŻ po raz drugi miałem okazję spędzić lato w Rumunji, nad morzem Czarnem, w Konstancy. Dwukrotny pobyt, chociaż w czasie i miejscu raczej niesprzyjającem poznaniu sztuki rumuńskiego narodu, pozwolił mi jednak wejrzeć conieco w jej życie i sprawy. Rozmowy z ludźmi, wizyty w kilku domach miejscowej inteligencji, poznanie jednego z t. zw. „bazarów sztuki", wreszcie znajomość, którą zawarłem z jednym z ruchliwszych tamtejszych działaczy na terenie plastyki — wszystko to pozwoliło mi poczynić szereg obserwacyj, któremi chcę się dzisiaj podzielić.

Warstwy inteligenckie tego kraju, bardzo jeszcze młode, pochodzenia chłopskiego, pragną swemu życiu nadać wszelkie znamiona kultury. Stąd też apetyt, zwłaszcza na obrazy, jest ogromny i pęd do ich kupowania powszechny. Jest to objaw w zasadzie nad wyraz dodatni, trzeba się teraz skolei zastanowić, co ludzie chcą kupować. Z tem już jest gorzej. Rumuni uznają tylko rzeczy b. tanie i oczywiście dostosowane do ich upodobań. A upodobania te raczej przechodzą obok dzieł poważnie traktujących zagadnienia artystyczne. Taki stan rzeczy zapewnia powodzenie przedewszystkiem wszelkim fabrykantom obrazków, oraz tym z artystów, którzy nie okazali dość charakteru i zniżyli, dla celów bardziej praktycznych, lot swych ambicyj.

W związku z tem da się zaobserwować ciekawe zjawisko. U nas też są ludzie, którzy malują tylko dla pieniędzy i jakieś tam kwestje uczciwości artystycznej wcale dla nich nie istnieją, ale granica między takimi „malarzami", a prawdziwymi artystami jest zupełnie wyraźna, w Rumunji zaś nie. Na wspomnianym już „bazarze sztuki" oglądałem dziwną mieszaninę obrazów serjo, całkiem niezłych, z okropnemi paskudztwami. Gdy zwróciłem uwagę na jakiś zupełnie już bezprzykładny kicz, powiedziano mi:

„A wie pan, to robił b. dobry malarz".

„Jakto? nie rozumiem..."

Wtenczas gospodarz wystawy pokazał mi drugi obraz, jeden z najlepszych na wystawie, pendzla tego samego artysty.

„Tamto, proszę pana, on zrobił specjalnie na sprzedaż".

U nas szanujący się artysta takich rzeczy nigdy robić nie będzie, w Rumunji fakt takiej dwoistości jest zjawiskiem dość pospolitem.

Na tej samej wystawie poznałem też pewnego jegomościa, zresztą b. inteligentnego, o wyrobionym poglądzie na rzeczy sztuki i bynajmniej nie banalnych osobistych upodobaniach, który mi powiedział, że „robi" obrazy, ale artystą nie jest. Wyjaśnił mi dokładnie, jak pracuje, ile czasu może poświęcić na każdy obraz, żeby mu się kalkulował,—słowem była to zracjonalizowana produkcja. Powiedział też, że uprzedza swoich klijentów lojalnie, iż nie daje im dzieł sztuki, 'tylko — jak się wyraził — rzecz dla gwoździa. „Ma pan jeszcze wolny gwóźdź w ścianie, na którym można coś powiesić, no to proszę..."

A rezultat? Klijentela jest zachwycona i powiada, że malarz się nie zna i sam nie wie, jak piękne rzeczy robi.

Jeśli chodzi o rzetelnych, poważnych artystów, miała i ma Rumunja kilku, którzy za temat swych płócien obrali kraj ojczysty i jego lud. Odtwarzają oni w obrazach życie i pracę ludu rumuńskiego i charakter rodzimego pejzażu. Obrazy te, malowane szeroko, przypominają malarstwo rosyjskie z doby przedwojennej. Można je ochrzcić mianem impresjonistycznego realizmu. Są to dzieła o tendencjach względnie konserwatywnych, słabo uwzględniające zdobycze palety najnowszej.

Istnieje też w Rumunji grupa zdecydowanych modernistów, mająca swoich zwolenników, zwłaszcza wśród odłamu snobizującej inteligencji. W tej grupie znajdziemy wielu malarzy bez głębszej kultury, załapujących tylko powierzchownie rozmaite nowinki, skąd co się da. Przytem stempel zagraniczny bardzo imponuje, a zwłaszcza paryski.

Co do krytyk artystycznych, to Rumuni bardzo chętnie zastępują je komunikatem prasowym, lub poprostu reklamą. Doświadczyłem tego na sobie. W kasynie, w Konstancy, urządziłem małą wystawkę swoich drzeworytów. W trzech rumuńskich gazetach pisano o mnie b. pochlebnie. Niech wam się jednak wcale nie zdaje, że którykolwiek z piszących widział choć jeden z moich drzeworytów. Nawet się nie fatygowali, żeby je obejrzeć. Zwrócono się tylko do mnie z prośbą o dostarczenie informacyj, a już w redakcji podlano je odpowiednim sosem. Między innemi zostałem nazwany laureatem sztuk pięknych (?!)...

Istnieje w Rumunji instytucja w rodzaju naszego „Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego". Opiekują się nią rumuńskie panie. Wystawę tej instytucji widziałem także w Konstancy. Eksponaty, głównie w postaci haftów i tkanin, wzorowane ściśle na dawnych wzorach ludowych, mają w sobie jeszcze dużo szlachetnej i pięknej prostoty. Nowsze prace z tego samego zakresu, będące rezultatem kontaktu inteligencji z ludem, przedstawiają się już znacznie gorzej. Haft czarny, lub tylko czarno-czerwony, ustępuje miejsca kolorkowości sukien *à la* strój ludowy, robionych dla pań z miasta.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„WALKA KOBIET" — W TEATRZE NARODOWYM

WIELKIE ambicje wielkiemi ambicjami, szumne frazesy szumnemi frazesami, obietnice repertuarowe repertuarowemi obietnicami, ale przedewszystkiem trzeba żyć, co w czasach kryzysowych nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, nawet dla teatrów subwencjonowanych. Zachęcony dużem powodzeniem „Szklanki wody", która, mówiąc żargonem teatralnym, „robiła kasę" przez bardzo długi szereg wieczorów — Teatr Narodowy wygrzebał w bibljotece i otrzepał z kurzu inny, nadryziony poważnie zębem czasu, szpargał tego samego pokroju. Wznowiono z wielkim nakładem staranności i kosztów trzyaktową komedję Scribe'a i Legouvé'go pod tytułem „Walka kobiet". Z punktu widzenia reklamowanych hałaśliwie celów ideowych Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce — wznowienie to jest najzupełniej zbyteczne. Komedja owa bowiem — aczkolwiek niewątpliwie

należy do najlepszych utworów sławnej niegdyś spółki dramatopisarskiej, wcale nie może rościć sobie pretensyj do rangi wiekopomnego arcydzieła literatury dramatycznej, zasługującego na włączenie do żelaznego repertuaru pierwszej sceny polskiej. Komedja ta była na swoje czasy (powstała w roku 1851) bardzo zgrabnie zmajstrowanem widowiskiem teatralnem, posiadającem kilka doskonałych, popisowych ról, które pozwalały gwiazdom aktorskim dziewiętnastego wieku wygrywać się „na całego". Dzisiaj zgrabność scenopisarska Scribe'a już nam nie imponuje. Wartości zaś literackich w owym utworze dostrzegamy nie więcej, niż w pierwszym lepszym filmie detektywnym.

Niegdyś, siedemdziesiąt parę lat temu, „Walka kobiet" robiła furorę. Autorowie jej Scribe i Legouvé posiadali w Paryżu i w całej Europie ogromną popularność. Uchodzili: pierwszy za nieporównanago wirtuoza w kunszcie operowania efektami teatralnemi, drugi — za autentycznego z Bożej łaski poetę. Ale już za czasów ś. p. Juljusza Lemaître'a utwory tej renomowanej firmy, której świat zawdzięczał m. in. sławną „Adrjannę Lecouvreur" postradały niemal całkowicie pierwotną atrakcyjność. Spostrzeżono, że Legouvé prawdziwym poetą nie był i że Scribe (Wielki Skryba) pod względem techniki scenopisarskiej ani się umywa do takiego naprzykład asa, jak Wiktoryn Serdou. Okazało się, iż ciężary rzekome, jakiemi ów osławiony kunstrzmistrz brawurowo z powodzeniem przez długie lata żonglował, były ciężarami tekturowemi. Ułatwiał sobie zadanie przy pomocy środków oklepanych już w czasach zamierzchłej starożytności. Nadużywał niemiłosiernie monologów i odezwań się „na stronie". Pozatem tworzył sytuacje życiowo niewiarogodne, a figury, które wyprowadzał na scenę, pozbawione były jakiejkolwiek prawdy psychologicznej. Nie byli to ludzie, lecz bezduszne marjonetki, sztuczne, sztywne, konwencjonalne, kolorowane jaskrawemi barwami. Gdyby konwencjonalizm tych bohaterów bez skazy i zmazy, tych płomiennych kochanków, tych kobiet-aniołów i tych demonicznych czarnych charakterów okupiony był bodaj odrobiną prawdziwej poezji, gdyby sztuczność sytuacyj była wynagrodzona prawdą artystyczną, trzebaby autorowi owe grzechy wybaczyć. Przestałyby być wogóle grzechami. Nikomu przecież nie przychodzi do głowy poczytywać konwencjonalizmu za grzech Moljerowi lub Fredrze. Ale w utworach Scribe'a poezji niema ani za grosz. Są w nich tylko pozory poezji i pozory życia.

„Walka kobiet" powstała na rok przed ogłoszeniem we Francji drugiego cesarstwa. Sztuka ta apelowała do nurtujących podówczas społeczeństwo francuskie sentymentów bonapartystycznych. Akcja jej rozgrywa się w roku 1817. Bohaterem utworu jest młody, piękny, wytworny i waleczny hrabia Henryk de Flavigneul, który aczkolwiek pochodzi z rodziny legitymistycznej, wiernej Burbonom, służył w armji napoleońskiej, odbył kampanję moskiewską i niemiecką i z tego powodu nie może ścierpieć krzywd, jakie starym, zasłużonym weteranom napoleońskim wyrządzają przedstawiciele władzy królewskiej. Będąc przypadkowo świadkiem degradacji zasłużonego napoleńczyka zapłonął szlachetnym gniewem i rzucił się na podoficera dokonywającego obrzędu zdzierania epoletów. Wskutek tej awantury posądzony został o należenie do spisku bonapartystycznego. Musi się ukrywać, przebrany w liberję lokajską, w pałacu zakochanej w nim na zabój, wpływowej rojalistki, pięknej, szlachetnej i bogatej hrabiny D'Autreval. Hrabina ma lat około trzydziestu. W czasach Scribe'a był to już wiek poważny. W pałacu jej mieszka młodziutka piękność osiemnastoletnia, skuzynowana z panią domu, hrabianka Leonja de Villegotier, anioł wdzięku i dobroci. Otóż Leonja zakochuje się w urodziwym lokaju. Między obu szlachetnemi damami wywiązuje się walka o serce Henryka, walka zakończona triumfem Zosi nad Telimeną, to jest, chciałem powiedzieć, Leonji nad hrabiną. Walka owa — to główny wątek komedji.

Nie będę szczegółowo opowiadał perypetyj. Muszę jednak wspomnieć, że istnieje w sztuce drugi jeszcze wątek: walka hrabiny, ukrywającej politycznego przestępcę, z baronem de Montrichard, prefektem departamentu, ścigającym ze służbowego obowiązku bonapartystów i pragnącym rozstrzelać rzekomego spiskowca Henryka de Flavigneul. Ten baron to najmniej banalna, najciekawiej stosunkowo pokazana postać w sztuce. W roku 1793 był on zawziętym wrogiem tyranji burbońskiej, służył jako zapalony rewolucjonista rządowi pierwszej Rzeczypospolitej. Hrabina d'Autreval znała go już wtedy. Jako młodziutkie dziewczę uwolniła z jego sideł paru wandejczyków. Za czasów Napoleona Montrichard był lojalnym sługą cesarstwa — zdobył podówczas tytuł barona, prześladując z właściwą sobie gorliwością republikanów. Po Restauracji przedzierżgnął się w legitymistę zakamieniałego i ściga niemiłosiernie zwolenników, kończącego wolno swój żywot na wyspie św. Heleny, Napoleona. Otóż w walce z hrabiną d'Autreval baron de Montrichard przegrywa. Szlachetny bohater zostaje ocalony, a czarny charakter wyprowadzony w pole.

Rola hrabiny d'Autreval jest najbardziej popisowa. W dawnych czasach ubiegały się o nią najznakomitsze aktorki. Pokolenie ojców naszych podziwiało i oklaskiwało w tej roli Helenę Modrzejewską. Wielki talent pani Ćwiklińskiej wystarczył oczywiście całkowicie, aby uporać się z niebylejakiemi trudnościami ożywienia tej marjonetki. Trudniej znacznie przyszło pannie Barszczewskiej ożywić figurę Leonji — straszliwie konwencjonalnego wypchanego anioła. Aktorka ta — niewątpliwie bardzo obiecująca — ma jeszcze zamało doświadczenia, żeby się z konwencjonalizmami scribe'owskiemi zwycięsko borykać. Tytułowa walka kobiet — wskutek nierówności przeciwniczek wypadła daleko mniej interesująco niż, drugoplanowa w koncepcji autorskiej, walka kobiety z policjantem. Prefekta departamentu odtworzył kapitalnie pan Wojciech Brydziński. Świetny ten aktor, urodzony raczej do ról szlachetnych niż do czarnych charakterów, potrafił przezwyciężyć samego siebie. i dać kreację nader efektowną. Dość szczęśliwie wypadła rola Henryka de Flavigneul powierzona panu Leonowi Łuszczewskiemu. Pan Tadeusz Wesołowski zadał sobie bardzo wiele trudu, żeby z niemiłosiernie płaskiej roli komicznego tchórza Gustawa de Grignon wykrzesać coś zajmującego.

Trud aktorów, imponujące przepychem dekoracje pana Stanisława Jarockiego i dobra reżyserja pana Emila Chaberskiego zostały przez publiczność premjerową należycie ocenione i wynagrodzone hucznemi oklaskami. Oklasków padło tak wiele, były tak spontaniczne i głośne, że w sceptyczniejszych krytykach budziły zdziwienie: skąd aż tyle zapału dla przestarzałego sztuczydła. Publiczność ustosunkowała się do hrabiny d'Autreval tak entuzjastycznie, jakby pokazano na scenie conajmniej fredrowską Podstolinę. Henryk de Flavigneul przyjęty został ciepło, jakby był rodzimym Guciem, a z płaskich konceptów epatującego galerję nieprzyzwoicie opiętami spodniami Gustawa de Grignon, śmiano się, niczem z Papkina. Zdaje się, że „Walka kobiet" z afiszu zejdzie nie prędko. Szkoda. Wolelibyśmy coś lepszego.

S. J. G.

Do numeru niniejszego dołączamy czeki na P.K.O. nr. 3105 i prosimy usilnie, aby Sz. Czytelnicy bez zwłoki zechcieli zrobić z nich użytek, nadsyłając prenumeratę na kwartał IV.

Prosimy przy sposobności o rozpowszechnianie „Myśli Narodowej" między znajomymi.

POKŁOSIE

MOTORYZACJA

O MOTORYZACJI kraju pisze się u nas niemało (często zupełnie bez sensu) a i robi się coś niecoś. Ostatnio ogłoszono o zniesieniu lub zmniejszeniu szeregu opłat od pojazdów mechanicznych, mówi się o nadawaniu zagranicznym firmom samochodowym koncesyj na urządzanie montowni w kraju i wreszcie o zachęcaniu wszelkiemi sposobami tuziemców do kupowania samochodów. Zachęcanie to *(„strożajsze rekomendujetsia")* ma objąć przedewszystkiem kategorję lepiej płatnych urzędników, przyczem, dla ułatwienia im korzystania z tej przyjemności, jaką stanowi posiadanie i używanie samochodu, mają być budowane zbiorowe garaże, urządzane kursy szoferskie i t. d. Jednem słowem, ma być zrobione wszystko, żeby wreszcie zwalczyć ten niezrozumiały opór, jaki Sarmaci stawiają rozpowszechnianiu się samochodów w naszym pięknym kraju.

Skąd się jednak ten opór bierze i czy zawsze tak było?

Niedawna historja mówi, że nie. Przed laty dziesięciu liczba samochodów u nas dość szybko rosła. W czasach inflacyjnych wielu ludziom u nas zaczęło się naraz zdawać, że są bogaci; gdy w pierwszych latach po wojnie pszenica zaczęła „dobrze płacić", ten i ów obywatel na niewielu nawet włókach poczuł nagle, że przyda mu się nietylko jeden samochód, ale dwa: jeden mniejszy do przejażdżki po polach czy w sąsiedztwo, drugi większy, gdy pilne interesy zawezwą do Warszawy w tempie tak nagłym, że pociąg pośpieszny nie wystarczy. Liczba samochodów nie doszła i wtedy do jakiejś zawrotnej wysokości (*maximum*, jakie osiągnęliśmy we wszystkich kategorjach doszło bodaj do 45 tysięcy), ale była dostateczna, żeby po skończeniu się dobrych czasów wywołać u wielu dotkliwy *„katzenjammer"*.

Dzisiejszy opór tłumaczy się bardzo prosto: według urzędowej statystyki liczba osób, które wykazują dochód roczny powyżej 20 tysięcy złotych, a więc ten zastęp ludzi, którzy częściowo z biedą, częściowo swobodnie mogą sobie na samochód pozwolić, wynosiła w roku 1931 tylko 16 tysięcy (w tem tylko 5 tysięcy z dochodem 40 tysięcy i wyżej), przyczem liczby te z biegiem lat miały tendencję zniżkową; do tego trzeba dodać jeszcze parę tysięcy osób z takim dochodem z płac i uposażeń i oto będziemy mieli cały rezerwoar kandydatów na właścicieli samochodów. Niewielki to zbiornik i łatwo wobec tych cyfr wyprowadzić słuszny wniosek, że Polacy nie kochają się w samochodach, nie z powodu archaicznego przywiązania do konika, tylko poprostu z biedy i niewiele tu pomoże wstydzenie przypominaniem, ile to aut przypada na głowę w rozmaitych krajach i na jakim szarym końcu my się znajdujemy...

Można zaryzykować śmiałe twierdzenie, że gdyby podnieść zamożność kraju, to liczba samochodów wzrosłaby automatycznie bez żadnych zachęcań, a prawdopodobnie przegonilibyśmy nawet zagranicę (może już i dziś ją w tym względzie przeganiamy, że kupują u nas te kosztowne maszyny ludzie znacznie biedniejsi, niż zagranicą).

Środki, przedsiębrane u nas obecnie, robią wrażenie zaczynania od końca i trudno przepowiadać im większy efekt. Ale cóż: podniesienie zamożności, zwiększenie dochodu społecznego nie da się osiągnąć w krótkim czasie, a motoryzacja jest przecież z wielu względów potrzebna. Oczywiście, nie trzeba jednak zbytnio sprawy upraszczać. Nie każda motoryzacja jest pożyteczna.

Nikt nie wątpi, że posiadanie w kraju znacznej liczby solidnych samochodów ciężarowych jest wysoce pożądane, zarówno w czasie pokoju, a tembardziej czasu wojny. Równie niewątpliwe jest znaczenie dobrze funkcjonującej komunikacji autobusowej. Dobrze byłoby gdybyśmy mieli dużo porządnych samochodów osobowych. Ale co komu przyjdzie z tej słabiutkiej, taniutkiej lichotki, jaka wskutek rozmaitych zachęcań rozpowszechni się w kraju? Taradajki te mogą jako tako służyć troskliwie się niemi opiekującemu właścicielowi, ale w razie, dajmy na to, wojny, zarekwirowane i oddane w ręce obojętnego szofera, rozlecą się niewątpliwie niemal natychmiast. Kto będzie miał z nich pociechę? Mimowoli przychodzi na myśl pewna kategorja „wojaków", jaką się widywało za frontem rosyjskim, a którą humor ludowy nazwał *„ziem-gusary"*. Związek ziemstw rosyjskich od początku wojny zorganizował służbę pomocniczą, sanitarną i in. na froncie. Z czasem organizacja ta stała się ucieczką licznych tysięcy młodzieńców, wykręcających się od służby w szeregach i oni to, ci „ziemscy huzarzy", udając, że coś robią, pędzili nieustannie we wszystkie strony na zarekwirowanych samochodach. Obawiać się należy, że te nasze wózeczki tylko tej kategorji wojujących służyć będą mogły...

A tymczasem nie należy zapominać, że mimo wszelkie bzdury wypisywane u nas, samochód jest dotychczas wehikułem bardzo kosztownym i tylko człowiek rzeczywiście zamożny może sobie nań pozwolić. Zachęcanie do kupowania samochodów ludzi ze skromnemi dochodami może ich łatwo zrujnować (trzeba pamiętać, że same wydatki zasadnicze, jak amortyzacja, oprocentowanie kapitału, podatki i asekuracja wyniosą od najmniejszego wozu około 2 tysięcy rocznie), a w każdym razie pozbawi zdolności kapitalizacyjnej jedyną prawie u nas warstwę, która coś odkładać może. I to bez pożytku w innym kierunku. ARGUS

NA MARGINESIE

W kołach sanacyjnych odbywają się narady, czy nie należałoby zmienić regulaminu obrad sejmowych, zwłaszcza w sprawie głosowania. Są zdania, że marszałek powinien wzywać:

— Kto się n i e z g a d z a z wnioskiem, proszę powstać! (Chciałbym widzieć takiego).

Wypadków takich nie będzie. Inaczej zaś posłowie, przy szybkiem załatwianiu ustaw (dyskusji przecież nie będzie), musieliby ciągle stać. *Qui sedet consentire videter* — mawiali Rzymianie.

„Lansowana" jest wszakże suggestja odmienna, mianowicie w kierunku zupełnego skasowania siedzeń. Wtedy wogóle kwestja głosowania odpadnie, bo któż się zdecyduje siadać na podłodze? W ten sposób ustawy załatwiane byłyby *stante pede*.

Istnieje wreszcie opinja, że do ślubowania powinien być dodany punkt. iż poseł zgadza się zgóry na wszystkie wnioski.

*

Przywódcy Związku Młodych Narodowców (pp. Stahl, Piestrzyński, Hrabyk i t. d.), wykładali w swych czasopismach i broszurach, że obecny system rządów w Polsce jest doskonały, konstytucja i ordynacja wyborcza — idealna, wszystko wogóle dzieje się najbardziej prawidłowo i t. d. i t. d. Powtarzali to ustawicznie, z niesłabnącym zapałem...

Wreszcie odnieśli triumf całkowity: p r z e k o n a l i sfery rządzące państwem o słuszności swej tezy. To też oczywiście, obóz sanacyjny wyciągnął z tezy tej logiczny zupełnie wniosek: „Skoro wszystko jest tak znakomicie, jak panowie głoszą, to broń Boże nie należy zmieniać osób, które są u steru, przedewszystkiem nie należy wprowadzać żadnych nowych figur"...

I „Młodych Narodowców" nie umieszczono — wobec tego — na listach kandydatów do Izb prawodawczych.

*

W syjonistycznym „Naszym przeglądzie" (Nr. 4682) wiadomość p. t. „Nowy rok szkolny w Instytucie Muzycznym im. Moniuszki" umieszczony jest w dziale — „Kronika żydowska".

Warto zapamiętać...

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.